NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW,** ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. | Kraków, 13 kwietnia 1907. | Nr. 15.

Tragedya rodzinna.

(Treść na stronie 2).



Tragedya rodzinna.

(Do illustracyi tytułowej).

Przy ul. Poselskiej pod l. 17 w Krakowie od adwokata dra Marka wynajmowała od kilku lat pokoik z kuchnią rodzina Launskych von Tiefental, złożona z matki Zofii, wdowy po urzędniku kolejowym, dwóch synów: Artura i Hugona oraz 18 letniej córki, Izabeli. Jak nazwisko wskazuje, rodzina to była pochodzenia niemieckiego, lecz od dawna spolszczona przez długi pobyt w Krakowie. Wskutek nieszczęśliwych okoliczności, ojciec umierając zostawił rodzinę niezaopatrzoną, więc zrazu zapanowała w domu nędza dotkliwa; kiedy wszakże synowie po ukończeniu studyów otrzymali stanowiska, stosunki domowe polepszyły się nieco. Starszy syn Artur miał posadę zrazu w Banku dla handlu i przemysłu, następnie w filii Banku austro-węgierskiego; młodszy zaś Hugo pracował w dziale wekslowym miejskiej Kasy oszczędności. Rodzeństwo żyło w bezprzykładnej wprost miłości, a bracia uwielbiali zwłaszcza swą siostrę Izę, niezwykle piękną i dobrą panienkę. Zamieszczamy tu obok jej ostatnią podobiznę. Przed rokiem biedna dziewczyna, widząc, że cała rodzina pada powoli ofiarą neurastenii, sama z obawy zapadnięcia na chorobę umysłową, otruła się kwasem pruskim. Śmierć jej tragiczna zabrała już spokój z domu.

Starszy brat Artur zerwał z narzeczoną, opuścił posadę w Banku i przeniósł się do Wiednia, gdzie zaopiekował się nim jeden z krewnych, wyższy urzędnik bankowy. W mieszkaniu na Poselskiej została już tylko matka z synem Hugonem, który ze skromnej pensyi dom utrzymywał, nie bywając poza biurem nigdzie. Przesiadywał ciągle z matką na długich rozmowach o nieodżałowanej siostrze, lub pisząc pamiętnik. Jedynym tematem rozmów i pisania był ciągle wzrastający żal za zmarłą, który zrodził myśl połączenia się z nią w innym świecie.



Fot. F. Kryjak, Kraków.
Tragedya rodzinna: Śp. Izabela Launska von Tiefental, siostra śp. Hugona.

W pamiętniku swym, pisanym ładnie, lecz wyrazami chorobliwej egzaltacyi, dochodzi młody Hugo Launsky do postanowienia, że ani sam dłużej żyć nie może, ani nie zdoła matki zostawić dłużej na pastwę losu. Po kilku miesiącach męczarni duchowej spełnił wreszcie przed kilku dniami okrokny swój zamysł zgładzenia matki i skończenia samobójstwem. Napisawszy list „ludziom do wiadomości“, zastrzegł się w nim, by nie posądzano go, iż czyn swój straszny popełnił w przystępie obłąkania, lecz powziął takie postanowienie zaraz po śmierci siostry, kiedy ta tragedya stworzyła w ich domu „nową, pełną łez i boleści epokę...“ Błagał też, by pochowano go w jednej trumnie i w jednym grobie z matką — jak najbliżej mogiły siostry.



Smierć czeskiego patryoty: Śp. poseł Edward Gregr.

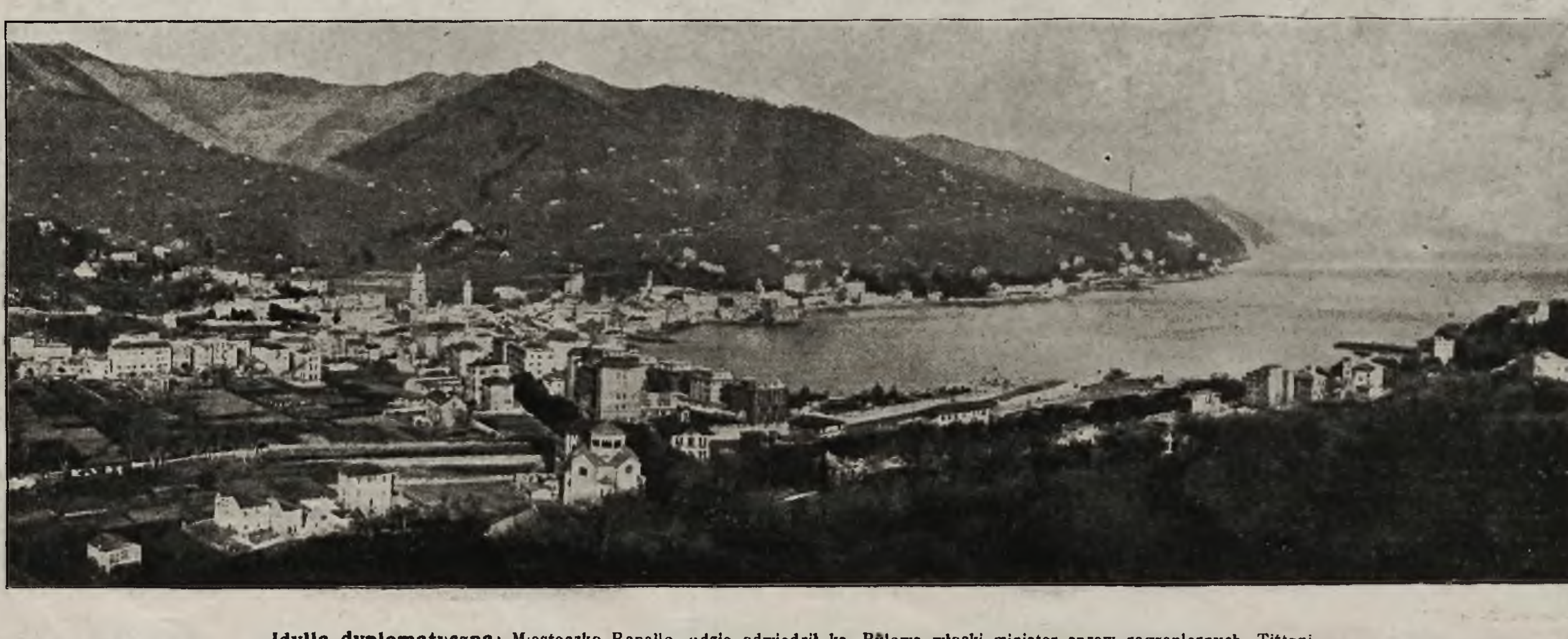
We środę o północy w kuchence mieszkania Launskych, sypiający tam stale kuzyn ich, Stanisław Krysta, usłyszał kilka strzałów rewolwerowych. Wstawszy więc, chciał dostać się do pokoju, lecz zastał drzwi na zasuwkę zamknięte, wyważył je — a wtedy oczom jego przedstawił się widok okropny.

W kałuży krwi na łóżku leżała, z pewnemi oznakami życia, matka, Zofia Launska w bieliźnie, z kilku szkaplerzami i medalikami na szyi, ugodzona w skroń dwoma strzałami, a na podłodze przy łóżku, z rewolwerem w ręku, konający syn jej Hugo.

Nie odniosły skutku wysiłki dra Schaittra i członków Towarzystwa ratunkowego: zmarli wkrótce oboje, naprzód matka, po niej syn. Komisarz policyi p. Krupiński, spisawszy protokół na miejscu, opieczętował mieszkanie, kazawszy odesłać zwłoki do zakładu medycyny sądowej, poczem przewieziono je do domu przedpogrzebowego na cmentarzu.



Idylla dyplomatyczna: Ks. Bülow (pośrodku) wraz z otoczeniem na przechadzce w Rapallo.



Idylla dyplomatyczna: Miasteczko Rapallo, gdzie odwiedził ks. Bülowa włoski minister spraw zagranicznych, Tittoni.

Z całej tragicznej rodziny Launskych von Tiefental pozostał jedynie Artur, którego stan zdrowia w Wiedniu jest wielce niepokojący.

Śmierć czeskiego patryoty.

Druga połowa ubiegłego stulecia wydała wielu znakomitych polityków czeskich, którzy zapisali się niezatartemi głoskami w dziejach swego narodu. Do ich grona należy bezsprzecznie świeżo zmarły dr. Edward Gregr, sędziwy przywódca stronnictwa młodoczeskiego i jeden z jego twórców.

Gregr urodził się 1828 r. w Brestwadzie pod Kralowym Hradcem. Po skończeniu medycyny w Wiedniu, habilitował się na docenta wszechnicy praskiej w 1859 r. i w tym roku już przystąpił jako wspólnik do założenia drukarni „Narodnich Listów". Wkrótce jednak porzucił karyerę naukową, a oddał się całkowicie życiu politycznemu, występując od razu jako gwałtowny przeciwnik Staroczechów, głównego ongi stronnictwa czeskiego, które związane było z federalistami. Do sejmu czeskiego należał od r. 1861, lecz dopiero w r. 1874 postawił wraz ze swem stronnictwem kontrkandydatów przeciw Staroczechom Wprawdzie ówczesne wybory dały dla Młodoczechów ujemny wynik, lecz ich program został wtedy jasno sformułowany. Streszczał się on w następujących punktach: „Zaniechanie abstynencyi, obesłanie Sejmu i parlamentu wiedeńskiego".

W dwa lata później ogłosił Gregr broszurkę pt.: „Nasza polityka", w której te punkty rozwinął, uderzając przy tem szczególniej na Władysława Riegiera, jako przywódcę Staroczechów, oraz na ich upieranie się przy zasadzie czeskiego prawa państwowego.

Od r. 1873 należał Gregr do Rady państwa, gdzie doczekał się zupełnego zwycięstwa partyi, której był jednym z głównych filarów. Był on znakomitym mowcą i z temperamentu pierwszorzędnym agitatorem; do pracy pozytywnej okazywał się mniej zdolnym. W każdym razie jego wielką zasługą pozostanie fakt, że przyczynił się w znacznej mierze do obudzenia się samowiedzy politycznej i narodowej w szerokich warstwach ludu czeskiego, która znalazła wyraz w radykalnym kierunku polityki, uprawianej przez Młodoczechów zarówno w Sejmie, jak i w Radzie państwa.

Pamiętnem jest jego wystąpienie przeciw Kołu polskiemu w 1894 r., gdy podczas rozpraw nad budżetem, zarzucił posłom polskim nieuczciwe postępowanie. Spotkał się wówczas z ich strony z ostrą odprawą i musiał obelgę odwołać.

Nieraz zdarzało się Gregrowi, który unosił się potokiem swojej płynnej wymowy, że mimowoli wystąpił w ten sposób, iż krzyżował zamiary swego własnego stronnictwa. Takim był np. atak na ministra Kaizla, ówczesnego ministra skarbu, Młodoczecha.

Z biegiem czasu Gregr skutkiem wieku tracił na dawnej werwie, powtarzał się w swych przemówieniach, coraz mniejszy wpływ wywierał na swych stronników. A gdy do tego poza plecyma Młodoczechów powstała w Czechach silna partya agraryuszów, rola polityczna Gregra była tak dobrze, jak odegrana. Pomimo tego pozostał do ostatnich czasów członkiem czeskiego Wydziału krajowego, gdzie spotkał go cios, który niezawodnie śmierć sędziwego polityka przyspieszył. Mianowicie członek Wydziału krajowego Zdarsky, zarzucił Gregrowi, że wyzyskuje swoje stanowisko urzędowe dla prywatnych korzyści. Ten zarzut — oczywiście niesłuszny — tak sobie wziął do serca Gregr, że powróciwszy do swego majątku



Opat artystą-rzeźbiarzem: Ks. Mause, opat klasztoru w Buckfost, w swojej pracowni rzeźbiarskiej.

Ctyrkoly, pod Pragą, wkrótce potem przeniósł się do lepszego świata.

Pogrzeb dra Gregra odbył się kosztem miasta Pragi w jego majątku, gdzie w myśl ostatniej woli został pochowany.

Opat artystą-rzeźbiarzem.

Zakony katolickie męskie od najdawniejszych czasów uprawiały malarstwo, rzeźbę i budownictwo. Mnóstwo wspaniałych świątyń i klasztorów, ozdobionych przepysznemi rzeźbami i obrazami, powstało dzięki artystycznej działalności zakonników, do dziś dnia też ozdobą książnic są jedyne w swoim rodzaju rękopiśmienne księgi, wykonane i illustrowane przepysznemi miniaturami przez pracowitych mnichów.

Jak się pokazuje z podanego w dzisiejszym numerze „Nowości Ill." zdjęcia i dziś jeszcze nie wygasła wśród niektórych zakonów tradycya pomnażania chwały bożej przez piękne dzieła sztuki. Przedstawia ono opata klasztoru Augustyanów w Buckfost w Anglii, ks. Mause, w chwili, gdy zajęty jest, jako artysta-rzeźbiarz.

Zakonnicy wymienionego klasztoru postanowili odbudować własnemi siłami starożytny klasztor i kościół pod wezwaniem N. P. Maryi w Buckfost, leżący w ruinach. Podjęli oni to dzieło, aby uczcić pamięć swego poprzedniego opata, ks. Nattera, który zginął roku ubiegłego w czasie katastrofy, jaka spotkała statek „Sirio" u brzegów Hiszpanii.

Ks. opat Mause, pragnąc pracować w odpowiednich dla artysty rzeźbiarza warunkach, przeniósł się do Exeter, gdzie słynna firma rzeźbiarska „Hems & Sons", dostarczająca rzeźb religijnych, oddała mu do rozporządzenia jedną ze swych pracowni.

* * *

Przykład angielskiego opata, który, nawiasem mówiąc, z pochodzenia jest Francuzem, powinien znaleźć naśladowców wszędzie a szczególniej wśród naszego duchowieństwa zakonnego, które ma sobie powierzone tyle pięknych, lecz niestety zębem czasu mocno zniszczonych zabytków. Nie żądając już tego, aby nasi czcigodni przełożeni klasztorni sami chwytali za pendzel, lub dłuto, można by od nich wymagać, aby więcej dbali o artystyczną konserwacyę swych klasztorów i kościołów, czego mogą dopiąć, zasięgając, gdzie należy, rady wtedy, gdy przystępują do restauracyi odnośnych zabytków budownictwa, rzeźby lub malarstwa.



Z zawieruchy rumuńskiej: Chłopi rumuńscy rabują domy żydowskie w Burdużeni.

Echa rumuńskiej zawieruchy.

Ludzkość spotykają katastrofy nie zawsze pochodzące od ślepych sił przyrody. Do takich katastrof, wywołanych świadomie, należy straszna zawierucha, jaka przeciągnęła nad Rumunią. Kraj stanął w płomieniach. Gabinet liberalny, powołany do kierownictwa rządami, w najkrytyczniejszej chwili, znalazł się w nadzwyczaj trudnem położeniu.



Echa zawieruchy rumuńskiej: Wnętrze zrabowanego domu żydowskiego.

Z jednej strony musiał on zwalczać anarchię, z drugiej zaś — był niejako zmuszony zaprzeczać sam sobie, bo nie ulega wątpliwości, że agitacya liberalna za rządów poprzedniego gabinetu konserwatywnego, wielce przyczyniła się do wybuchu tych godnych pożałowania rozruchów, które dowiodły, na jak niskim jeszcze stopniu kultury znajduje się Rumunia. Przynajmniej wojsko nie zawiodło pokładanych w niem nadziei. Opierając się na wojsku, zdołał wreszcie po dwóch tygodniach przeszło, nowy prezydent ministrów, Dymitr Sturdza, stłumić ruch ludowy, który przybrał wszelkie cechy rewolucyi antyspołecznej.

Rzecz prosta, że stłumienie tego ruchu przybierało formy również dzikie, jak te, które ów ruch charakteryzowały. Wyczerpujące sprawozdania o zawierusze rumuńskiej, jakie podawaliśmy w poprzednich numerach „Now. Illustr.“ naszym Czytelnikom, pozwoliły im niezawodnie wyrobić sobie jasne wyobrażenie o tych smutnych zajściach. Dziś dodajemy tylko wiadomość, że straty wywołane przez nie dochodzą 40 milionów franków. Położenie poszkodowanych, zarówno dzierżawców żydów, jak i właścicieli większych posiadłości Rumunów, jest wręcz straszne. Ani rząd bowiem, ani towarzystwa asekuracyjne nie myślą o płaceniu za szkody, wyrządzone przez rozszalały „mob“, tłomacząc się, że tym razem działała „vis major“, za której kutki nikt nie może być odpowiedzialnym („sic!“). Oczywiście, iż tego rodzaju tłomaczeniem nie zadowolą się obcy poddani — przeważnie austro-węgierscy — którzy bardzo wiele ucierpieli i stracili podczas marcowych rozruchów.

* * *

Zdjęcia jakie podajemy w dzisiejszym numerze, wykonane z rysunków zrobionych na miejscu, przedstawiają w dosadny sposób pojedyncze epizody z tych zaburzeń, które stały się prawdziwą katastrofą dla państwa króla Karola. Na jednem z nich widzimy chwilę rabunku żydowskich domostw w miasteczku Burdużeni, gdzie zaczęły się pogromy, na drugiem przedstawione jest wnętrze domu żydowskiego po rabunku, gdy powrócili doń gospodarze, na trzeciem wreszcie rysownik pochwycił chwilę rozdawania zapomóg w Ickanach, na Bukowinie, pomiędzy żydów rumuńskich, którzy zaledwie z życiem schronili się na terytoryum austryackie.

Korespondenci z Bukowiny opowiadają o scenach wzruszających jakie wśród tych przymusowych emigrantów rozgrywały się zwłaszcza w pierwszych dniach po pogromach. Na załączonej poniżej rycinie widzimy grupy ludzi wczoraj zamożnych — dziś nędzarzy, zmuszonych przyjmować jałmużnę z rąk delegatów komitetu dla niesienia pomocy ofiarom zawieruchy.



Echa zawieruchy rumuńskiej: Rozdawanie zapomóg pomiędzy żydów rumuńskich w Ickanach.

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO
na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem.

18 Ciąg dalszy

ROZDZIAŁ VII.

— Padam ze znużenia — powiedziała Logika, wchodząc przed wieczorem do swego mieszkania...

Wanda, która jej drzwi otworzyła, pomogła zdjąć okrywkę.

— I pewno głodna jesteś — mówiła ze współczuciem — zaraz ci przyniosę, a ty siadaj — wskazała na fotel przed stolikiem i wyszła do kuchni.

Logika z uczuciem przyjemności, graniczącej z rozkoszą, wyciągnęła się na miękkim fotelu, mówiąc do wchodzącej:

— Nie masz pojęcia Wandziu, jaka to rozkosz usiąść, wypoczywać i patrzeć na nasze mieszkanie.

Wanda rozejrzała się po pokoju skromnie umeblowanym i nie znalazła w nim nic tak dalece rozkosznego, uśmiechnęła się też ironicznie i stawiając talerz ze zupą, rzekła:

— Prócz kwiatów nie widzę tu nic zachwycającego, bo te meble kryte kretonem nie wzbudzają mego zachwytu.

— Mówiłabyś inaczej, gdybyś była tam, gdzie ja chodziłam — jadła z apetytem — gdybyś wiedziała, w jakich warunkach żyją ci robotnicy, którzy strejkują. Wilgoć, co lepsze graty wyprzedane, dzieci głodne, chorowite, matki spłakane.

— To chyba wyjątki.

— Zapewne, że nie wszyscy są w nędzy, ale zawsze są?

— Czy agitowałaś?

— W mieszkaniach udzielałam partyjnej zapomogi, a przemawiałam na zebraniu robotniczem.

— I powiodło ci się?

— Towarzysze są wyrozumiali, im chodzi o treść, nie o formę.

— I ja jutro idę na wiec — powiedziała z odcieniem dumy zadowolonej.

— Czy z Balem?

— Tak jest — i zaśmiała się, zauważywszy zdziwienie — zawsze mnie śmieszy przezwisko Władka.

— On znany jest tylko jako Bal, i nie radzę ci wypowiadać głośno jego prawdziwego nazwiska.

— Dobrze... A kto cię nazwał Logiką, czy ty sama?

— Nie... towarzysze tak mnie przezwali, i ciebie nazwą, gdy będziesz agitowała.

— Bardzo jestem ciekawa jak?

— Tego nie wiem.

— Zaraz przyniosę ci pieczeń — zerwała się z krzesła, a gdy powróciła, spytała Logika:

— Czy nie było listu do mnie?

— Żadnego... ale, ale, wiesz, miałyśmy nieszczególną wizytę... Wyobraź sobie wracam do domu i w przedpokoju zastaję jakiegoś pana, rozmawiającego ze Stasią — i opowiedziała szczegółowo całe zajście.

— Bardzo dobrze postąpiłaś — pochwaliła Logika — to jednak bezczelność, przychodzić do kobiet, dlatego, że same mieszkają.

— Gdybym się nie bała głośnego skandalu, byłabym go wyrzuciła za drzwi, ręce mnie świerzbiały.

— Nie dałabyś rady — uśmiechnęła się.

— Ja? Ty nie wiesz, jakam ja silna, próbowałam się z Władkiem, on tylko trochę silniejszy... A ty nie miałaś jakiej przygody?

— Owszem... zaraz po rozłączeniu naszem na Marszałkowskiej dojrzałam, że ktoś mnie śledzi, a miałam odezwy, broszury i list. Szedł za mną do Siennej, gdzie wsiadłam do dorożki, a ten tak samo i jedzie za mną, dopiero na Zjeździe zgubiłam go.

— Czy sądzisz, że i mnie będzie ktoś śledził? jakiś szpicel?

— To możliwe zawsze

W tej chwili Wanda spojrzała na przeciwległe okna i zawołała:

— To ten był u nas! — wskazała ręką.

— Ten? — spojrzała Logika, i cała się zarumieniła, poznała w nim bowiem rzekomego szpiega. To ją zabolało i upokorzyło jej dumę kobiecą. Więc to nie był ani szpicel, ani ajent, nie śledził jej ktoś dla jej działalności, ale jej ciało wzbudziło zaciekawienie i śledzenie. I dlaczego? Sumiennie i surowo przeszła najdrobniejsze szczegóły swego zachowania i nic nie znalazła, co by upoważniało do tego rodzaju prześladowania jej. Wreszcie on ośmielił się przyjść do jej mieszkania, powoływał się na znajomość z nią i poczuła prócz wzgardy, nienawiść palącą.

— A ty dlaczego poczerwieniałaś? — spytała Wanda zdziwiona.

— Z obrzydzenia.

— I ja brzydzę się takimi... Wiesz, nie rozumiem tej zwierzęcości u niektórych mężczyzn, czy oni nie czują, jacy są wówczas wstrętni.

— To są zabytki przeszłości — mówiła z przekąsem Logika — mężczyźni byli panami, a my niewolnicami. I teraz jeszcze zdaje się niektórym, a może i wszystkim, prócz socyalistów, że my kobiety jesteśmy stworzone dla ich przyjemności i rozkoszy.

— No, nie wszyscy Ewciu, np. mój szwagier, Władek i inni — miała chęć wymienić Kolę, ale się wstrzymała, nie zdając sobie sprawy dlaczego.

— Może i nie wszyscy — mówiła z wahaniem Logika — ale większość napewno.

— Ach, jak to dobrze będzie. gdy nastanie ustrój socyalistyczny! — zawołała Wanda z twarzą rozjaśnioną — tacy jak ten bezczelny — wskazała na okna — nie będą istnieli... Ewciu, a w jaki sposób ukształtują się wówczas stosunki między kobietą a mężczyzną?

— Będzie stosunek szczery, bez żadnej komedyi, udawania, więzów, przysiąg. Jak długo trwa wzajemna miłość, żyjecie razem, a przestaniesz kochać, jesteś wolną.

— Hm... to dobrze, jeśli ja pierwsza przestanę, a jeśli on?

— Trudno moja Wandziu, jedno prawo dla wszystkich. Zresztą wychowanie tak kobiet jak i mężczyzn będzie tego rodzaju, że zerwania będą wyjątkiem, przez samo poczucie honoru, obowiązków wzajemnych.

— My jeszcze jak my — mówiła Wanda z powagą — łatwiej się przystosujemy do nowego ustroju, ale mężczyźni są inni.

— Wiem o tem, lecz zmieni ich nowe wychowanie.

— To będzie trudne — westchnęła Wanda — bo nawet najlepsi z nich, nawet taki Władek, gdy spytam się o jaką pannę, dobrze mu znana, pierwsze słowa są zawsze: ładna albo brzydka, ale ani słowa o jej rozumie, zasadach; a jak ze sobą rozmawiają o kobiecie, to muszą mówić o jej figurze, oczach, włosach, tak jakby po za tem nic nie było w kobiecie.

— Bardzo trafne spostrzeżenie moja Wandziu, ale jak ci wspomniałam, to zabytek przeszłości, stosunek pana do niewolnicy. ale gdy raz zrównamy się pod każdym względem z mężczyznami, ustanie i to barbarzyństwo. I my kobiety stoimy pod tym względem stanowczo wyżej od nich. Czyż my rozmawiamy ze sobą o ich oczach, wąsach, figurze? Prawie nigdy, my szukamy w nich rozumu, uczucia.

— Ale mimo tej naszej wyższości, wolałabym być chłopcem — zaśmiała się Wanda — żadnych więzów, ograniczeń, i cały świat otwarty. Wychodzę, kiedy mi się podoba, wracam, kiedy chcę; nocuję w domu, dobrze, nie nocuję, także dobrze; przyjmuję kogo mi się podoba i kiedy mi się podoba. I to jest wolność osobista, a my!?

— Mówisz Wandziu o drobnostkach, ale ta ich swoboda uczenia się, osiąganie stanowisk społecznych, niezależność materyalna, to są przywileje, które prędzej czy później zostaną usunięte.

Nadszedł Bal, a gdy się dowiedział o wizycie, zawołał z żalem:

— Dlaczegoż mnie nie było!... I nie wiecie jak się nazywa?

Logika napróżno dawała znaki milczenia i sama pospieszyła z odpowiedzią:

— Nie, nazwiska nie powiedział.

Wanda nie zrozumiała czy nie zauważyła sygnałów Logiki i rzekła:

— Mieszka naprzeciw nas.

— Tak?... To już dobrze.

— Tylko proszę was — zawołała Logika — żadnej awantury. My same damy sobie radę i obronimy się od takiego błazna nie potrzebujemy.

Zrozumiała i Wanda, że niepotrzebnie się wygadała, więc prosiła:

— Władziu, jeśli mnie kochasz, nie mieszaj się do tej sprawy, przecież moralnie został wypędzony za drzwi.

— Ależ dobrze — uśmiechnął się — mam ważniejsze sprawy do załatwienia, aniżeli osobiste... Wiecie, w Moskwie rewolucya, strajk powszechny.

— Czytałam dzisiejsze dzienniki, nic nie piszą — dziwiła się Logika — były tylko wzmianki o zawodowych strejkach ekonomicznych.

— Z rozporządzenia Czerniejewa zabroniono podawać wiadomości o politycznych rozruchach, dlatego w pismach niema wzmianki o Moskwie.

— Więc nareszcie zaczynamy! — zawołała Logika — ach jaka to dobra wiadomość! Zauważcie w samem centrze państwa, w sercu jego nasza rewolucya!

— I dlatego przyszedłem do was z tą nowiną. Porwy nie zastałem, a pewno otrzymał już wskazówki z partyi rosyjskiej i... chyba pójdę do Figury, dowiem się.

— Ale wstąpicie do nas, albo też ja pójdę z wami.

— Lepiej już, aby Władek tu przyszedł, tak się zmęczyłaś dzisiaj.

— Już nie czuję teraz.

— Więc zostań dla mnie, bo i ja chcę wiedzieć — prosiła Wanda.

W przedpokoju zabrzmiał dzwonek, Bal poszedł otworzyć, i już w przedpokoju zawołał wesoło:

— Zostajemy wszyscy w domu... jest Figura!

Po przywitaniu, przybyły zapaliwszy papierosa, mówić zaczął:

— Wiedziałem, że nasi towarzysze rosyjscy zamierzają zamanifestować swą wzgardę dla takiej konstytucyi, trochę mnie dziwi, że już rozpoczęli, bo według ich planu równocześnie w różnych miastach miały się zacząć manifestacye, a w pomyślnym razie rewolucya.

— Może się już zaczęły, tylko my nie wiemy — odezwała się Logika.

— Za mało mieli czasu — potrząsnął głową — ale stało się, teraz idzie o to, aby ten płomień objął jak największą przestrzeń. Byłem u Porwy, nie zastałem... chciałem się naradzić, napisałem do Bundu, do Jonasza.

— Więc zaczynamy! — zawołała Logika z błyszczącemi oczyma — nie możemy przecież milczeć, gdy tam może już krew się leje.

— Zaraz towarzyszko, zaraz — uśmiechnął się Bal — nie sztuka podpalić gotowe wióry, trzeba obliczyć, czy będzie się paliło ognisko.

— Tak, tak, słuszna uwaga — westchnął Figura — nie jesteśmy dość przygotowani, lecz bądź co bądź musimy zamanifestować naszą łączność z Moskwą.

— I ja tak sądzę — rzekła Logika.

— Ja również — odezwała się milcząca dotychczas Wanda, wzburzona, z wypiekami na twarzy.

— W zasadzie i ja nie jestem przeciwny, ale w partyi musi być rygor i posłuszeństwo.

Wszczęła się rozmowa o strajku w Moskwie, o przypuszczalnych skutkach tegoż.

Przyszedł Porwa, na pozór chłodny, tylko oczy rzucały błyski, wiedział już o Moskwie, a na pytanie czy i Warszawa ma wziąć udział, odpowiedział:

— Sam nie mogę decydować. Poprosiłem tu kilku towarzyszy, naradzimy się Do siebie nie mogłem ich wezwać, gdyż pilnuje ajent, prawdopodobnie będę miał rewizyę. Był kto z was u mnie?

— Ja — odpowiedział Bal — ale nie wchodziłem, wiedząc, że cię niema.

— A ja dzwoniłem — dodał Figura.

— To niepotrzebnie... mamy znak umówiony, kwiaty w oknie oznaczają moją nieobecność lub niebezpieczeństwo.

Kolejno weszli Igielski kolejowiec, Morzyński odlewacz, Nestberg, Kola, i w końcu członek Bundu, Jonasz.

— Jesteśmy już wszyscy — zaczął Porwa — idzie o rozstrzygnięcie zasady, czy w obec wypadków w Moskwie, mamy tu w Warszawie zamanifestować naszą łączność.

— Tu nie może być dwóch zdań — pospieszył Jonasz z odpowiedzią w języku rosyjskim — jeśli tam ruszyli się ruscy, my musimy iść z nimi.

Język rosyjski, w ustach Jonasza, mieszkańca Warszawy, niemile dotknął obecnych, więc Igielski rzekł z przekąsem:

— Wywalczyliśmy język polski na kolei i nie widzę żadnej racyi nieużywania go na poufnem zebraniu, zwłaszcza wiedząc, że towarzysz z klijentami w sklepie mówi po polsku.

— Ja nie uznaję żadnej narodowości — zawołał Jonasz — a więc i polskiej, która zawsze chce być uprzywilejowaną.

— Ależ towarzyszu, sama grzeczność wymaga — tłomaczył spokojnie Nestberg — abyście się zastosowali do większości.

— Grzeczność!? — drwił Jonasz — ja pluję na wasze kłamstwa towarzyskie, a stosowanie się zostawiam takim, jak wy.

— Dajcież spokój sporom — zawołał Porwa — chce towarzysz z Bundu mówić po rosyjsku, niech mówi, bądźmy wyrozumiali na upor.

— Ja nie potrzebuję waszej wyrozumiałości — śmiał się drwiąco — ja mam prawo za sobą przemawiać, jak mi się podoba. Czy nie tak?

— Zgoda i na to — wzruszył Porwa ramionami — czy macie jeszcze co do powiedzenia towarzyszu Jonaszu?

— Ja powiem później, niech posłucham innych, co oni myślą.

Zabrał głos Figura i uzasadniał konieczność manifestacyi, a Logika poparła jego wniosek.

— Zwracam waszą uwagę, towarzysze — przemówił Porwa — że dziś lub jutro rozlepią rządowe ogłoszenie, iż wszelkie zbiegowiska, liczniejsze zgromadzenia są surowo wzbronione.

— To i cóż z tego? — uśmiechnął się Jonasz — niech oni sobie naklejają, a my zedrzemy i będziemy manifestowali.

— A wy towarzysze? — zwrócił się Porwa do innych.

— Manifestować — mruknęli Igielski, Morzyński i Nestberg.

— Widzę, że większość jest za manifestacyą — zaczął Bal — a kiedy już ma być manifestacya, niechże będzie wielką, wspaniałą. Ogłośmy strajk jednodniowy, powszechny i ze wszystkich dzielnic niech równocześnie wyruszy pochód, który się złączy w Alejach Jerozolimskich.

Odezwały się pomruki zgody.

— Co do mnie towarzysze — rzekł Porwa — jestem za manifestacyą, ale uważam za niepotrzebny, nawet szkodliwy dla nas rozlew krwi. Nie ulega, zdaje się, żadnej wątpliwości, że wojenny gubernator rozkaże wojsku strzelać do nas. Nie wiemy jeszcze w jakich rozmiarach wybuchła rewolucya w Moskwie, nie wiemy co zrobi Petersburg, Kijów, Charków, Odessa i inne miasta. Dla zamanifestowania naszej łączności wy starczy strajk, będzie on widomą oznaką dla wszystkich, że współczujemy z towarzyszami w Moskwie.

— Wy jesteście dziwny towarzysz — zaśmiał się Jonasz — myślicie, że my i rosyjscy towarzysze zadowolimy się tem, że będziecie sobie świętowali jeden dzień. Tak nie idzie towarzyszu, my żądamy czynnej manifestacyi, niech rząd pozna, że nietylko Moskwa nie chce tej parszywej konstytucyi, ale cała Rosya jest jej przeciwna. Czy ja źle mówię? — spojrzał na esdeków.

— Rozumiem wasze skrupuły towarzyszu Porwa — przemówił Figura — i wiecie, że jestem z zasady przeciwny przelewowi krwi, lecz w tym wypadku idzie o stwierdzenie naszej łączności z proletaryatem rosyjskim, i chociażby nasza partya cofnęła się, my pójdziemy.

— Ja jestem również za manifestacyą — mówił Nestberg — nam przecież zarzucają, że myślimy tylko o Polsce, że odsuwamy się od walki proletaryatu w Rosyi, więc gdybyśmy się teraz cofnęli, uważanoby naszą partyę za wyłącznie narodową, co byłoby szkodliwem i dla nas, i dla całej partyi socyalistycznej.

— I co za szkoda byłaby dla nas? — spytał z uśmiechem Jonasz.

— Jeśli wy, towarzyszu Jonaszu, nie rozumiecie tego — rzekł Nestberg — że rząd i gazety zaczęłyby dąć w dudkę patryotyczną, to najlepiej zrobicie, nie przemawiając wcale.

Jonasz chciał odpowiedzieć, lecz przerwał mu Porwa:

— Kto z towarzyszów jest tylko za strajkiem?

Z obecnych tylko jeden Igielski zgadzał się na strajk.

— W obec większości ustępuję, zatem będzie manifestacya Zdaje mi się, że za dwa dni przygotujemy się, jak sądzicie towarzyszu Morzyński?

Wezwany robotnik z odlewarni potarł czoło grubą ręką i rzekł po namyśle:

— Dziś mamy wtorek, środa wystarczy na zawiadomienie towarzyszów...

— A w czwartek manifestacya — zawołał Jonasz — i ja tak chcę.

— Za pozwoleniem — powiedział Morzyński, spojrzawszy niechętnie na Jonasza — wpierw niech skończę. Otoż we czwartek jest dzień wypłaty, więc na piątek ogłosimy strajk i manifestacyę, tak mi się przynajmniej widzi.

— Dla jednej fabryki nie możemy opóźniać manifestacyi. Czy nie tak?

— Takich fabryk jest więcej — zrobił uwagę Igielski — a jeśli Bund chce koniecznie czwartku, niech zaczyna.

— Towarzysze — wstał Figura, gładząc swą brodę — nietylko Bund chce czwartku, ale i my. Jeśli nie mogliśmy równocześnie stanąć w szeregu, nie zwlekajmy teraz. Być może, że mój plan nas pogodzi. My i Bund zaczniemy manifestacyę we czwartek, a w piątek rano ruszymy wszyscy. Wszak zawsze tak bywa, że najpierw wysuwają się nieliczne gromadki i stopniowo rosną w tłumy. Nasze wystąpienie i Bundu podnieci robotników, rzuci zarzewie na palną masę i dopiero buchnie płomień.



— Ja nie uznaję żadnej narodowości — zawołał Jonasz — a więc i polskiej, która zawsze chce być uprzywilejowaną!

— Dlaczego Bund ma dwa razy manifestować, a P. P. S. jeden raz? — spytał Jonasz.

— Nie liczmy się kto i ile razy się naraża — odpowiedział Bal — nam idzie o rewolucyę, o zwalenie systemu rządowego, i każda partya według swej możności powinna działać.

— Towarzyszu Igielski — zwrócił się Porwa z pytaniem — czy kolej zastrejkuje?

— Zdaje mi się, że nie zechcą towarzysze kolejowcy. Do skłonienia ich, potrzeba czegoś faktycznego, realnego rezultatu. Lekkomyślnie nie będą narażali się na utraty miejsca, na głód.

— Czyż nie dość dla was realnem jest zwalenie rządu? — oburzył się Figura.

— Zapewne, ale nie wiemy jeszcze, jakie rozmiary ma rewolucya w Moskwie, czy wojsko idzie z ludem, czy rzucone hasło znajdzie odzew w masach ludowych? Zresztą strajk jednej linii prawie niema znaczenia, a my musimy przygotować zapasy i siły na ważniejszy moment?

— Więc dlaczego głosowaliście za strajkiem, jeśli nie można go przeprowadzić — spytała Logika.

— Miałem na myśli nasze warsztaty kolejowe, magazyny, ładowniczych, a towarzysz Porwa pytał o linię kolejową.

— Czy zgadzacie się towarzysze na mój plan, abyśmy zaczęli we czwartek, a wy w piątek rano? — spytał Figura.

— Cóż wam tak spieszno narażać się na kule i knuty — rzekł Bal — zaczekajcie do piątku i tak was nie ominą.

— Istotnie Bal ma racyę — przemówił Porwa — gdy w kilku punktach zaczniecie manifestować, łatwo przyjdzie policyi i wojsku was otoczyć i udaremnić wasze wysiłki. Inna rzecz, gdy w okrąg Warszawy rozwiną się czerwone sztandary. Na razie będzie trudno im się zoryentować, i wojsko, i policya cofną się ku środkowi miasta.

— Żadnej zwłoki! — zawołała Logika — jeśli wy istotnie nie możecie być gotowymi na czwartek, my zaczynamy. I może dość tej narady, bo trzeba działać i agitować.

— Bardzo słusznie — dodał Figura.

— Zaproponowałbym wam towarzysze jedną poprawkę planu — odezwał się Kola — a mianowicie ci z P. P. S., którzy mogą się przygotować na czwartek, niech manifestują razem z nami, bo takie rozdzielanie stronnictw rewolucyjnych jest szkodliwe. Cóż wy Porwa na to?

— Nasze stronnictwo stoi karnością i nie możemy, takie jest moje przekonanie, rozstrzelać sił naszych. Na dane hasło idziemy ławą.

— Tak, tak — potwierdzili inni towarzysze.

— Lecz i to dodam — mówił Porwa dalej — że jeśli który z naszych, z własnej ochoty zechce pójść z manifestantami, wolno mu bez naruszenia karności.

— Dobre i to — westchnął Kola.

W przedpokoju ostro zadzwoniono, zaniepokoili się obecni, a najbardziej Jonasz, który przeszedł w najciemniejszy kąt pokoju.

Bal, stojący najbliżej drzwi wejściowych poszedł otworzyć, i szybko wszedł do pokoju Wicher, student uniwersytetu. Na jego delikatnej twarzy odzwierciedlał się zapał, oczy były błyszczące, a wchodząc zawołał:

— Górą nasi!... Wiecie, Moskwę objął strajk powszechny, zaczęli zecerzy, i stopniowo inni, wreszcie piekarze. Walki nieustanne z policyą, z kozakami, wojska nie puszczają z koszar w obawie rewolucyi, tylko rostowski pułk jest na ulicach.

— Skąd wiesz? — spytał Bal.

Pytanie to zgłuszyły słowa zapału i radości. Ściskali sobie ręce, śmiali się, wydawali okrzyki, jeden tylko Porwa i Bal nie okazywali zbytecznej radości, nie dowierzali wiadomościom tak pomyślnym.

— Teraz chyba i wy pójdziecie we czwartek z nami — zawołał Figura.

— Teraz? — uśmiechnął się Porwa — teraz tem mniej i wolałbym odłożyć strajk i manifestacyę o jaki tydzień.

— Czyż to możliwe? — zawołała Logika z oburzeniem.

— Tak jest towarzyszko. Dla mnie nie wy starcza zrobienie manifestacyi, pragnę rewolucyi a walki z rządem przeciągną się na dłuższy czas i muszą towarzysze przygotować się do tego. Słuchajcie Wicher, nie wiecie ile dni trwa strajk w Moskwie?

— Dziś szósty dzień.

— Słyszycie towarzyszko, szósty dzień, i kto wie jak długo będzie. No, a jeść trzeba, głód nie słucha i jest złym doradcą. Z nędzy, z głodu, może się proletaryat rzucić na bogatszych, zaczną się rozboje i hańba spadnie na partye rewolucyjne. Tego musimy unikać, jeśli chcemy mieć poparcie ludności.

— Co za poparcie mogą dać burżuje, kapitaliści, i cała ta ludność, która korzy się przed nahajką i mundurem — zawołał drwiąco Jonasz.

— Może Bund nie potrzebuje poparcia ludności, ale dla nas jest ono bardzo potrzebne — odpowiedział Porwa spokojnie — i proszę was, towarzyszu Jonaszu, nie dotykajcie sprawy polskiej w mojej obecności.

— Co to nie dotykać! Dlaczego nie dotykać? — krzyczał Jonasz po rosyjsku — kto mi zabroni?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wystawa gospodarsko-kucharska.

Korzystając z pory przedświątecznej, znana autorka „Najlepszej kuchni", p. Marta Norkowska, właścicielka szkoły gospodarstwa domowego w Warszawie, urządziła w Wielkim tygodniu kilkudniową wystawę wytworów pracy swoich wychowanek, przeznaczając dochód na korzyść ochrony Tow. opieki nad dziećmi.

Wystawę tę znamionowały wszystkie zalety samej szkoły, pierwszej i jedynej w Warszawie, a więc połączenie względów zdrowia konsumentów z wymaganiami współczesnemi estetyki kulinarnej i gospodarsko-domowej. Wystawa mieściła się w trzech obszernych salach szkoły przy ul Brackiej l. 17 i obejmowała działy: bieliźniarstwo, pralnię, prasowalnię, cukiernię, kuchnię i piekarnię. Dział kuchenny przedstawiał cały szereg potraw i smakołyków specyalnie do tradycyjnego święconego dostawianych. Dział cukierniczo-piekarski obfituje w ciasta wszelkiego rodzaju i gatunku, nie ustępując w wyglądzie zewnętrznym i dobroci najlepszym wyrobom fachowych piekarń i cukierń. Nie zapomniano też o dziale ubierania i nakrywania stołów biesiadnych, w prawdziwie artystyczny sposób przedstawionych, przy pomocy misternych a harmonijnych połączeń zastawy porcelanowej i szklanej z bielizną stołową i odpowiednio upiętemi girlandami z liści i kwiatów.

Duże zainteresowanie u pań, zwiedzających licznie wystawę, budził też dział szycia i reperacyi bielizny, oraz sukien i ubranek dziecięcych, wreszcie okazy śnieżno białego prania i prasowania wszelkiej bielizny bez domieszek szkodliwych, chemicznych. Słowem wystawa szkoły p. Norkowskiej dała pełny obraz jej zakresu nauczania i poglądowo pokazała paniom warszawskim, jak wiele nauczyć się trzeba, zanim można zostać praktyczną gospodynią i panią domu, prawdziwą znawczynią jego arkanów gospodarskich.



Wystawa gospodarsko-kucharska w Warszawie W pracowni cukierniczej Szkoły gospodarstwa domowego p. Marty Norkowskiej.

Z wystawy tej załączamy dwie fotografie, z których jedna przedstawia dział cukierniczy, druga zaś grupę wszystkich uczenic, które w tym roku skończyły wzorową szkołę p. Norkowskiej.



Wystawa gospodarsko-kucharska w Warszawie: Słuchaczki szkoły gospodarstwa domowego p. Marty Norkowskiej, które obecnie ukończyły kurs szkolny.

Królewska rodzina rumuńska.

Oczy całego świata zwrócone są na Rumunię. Jeszcze raz sprawdziło się przysłowie, że „nie wszystko złoto, co się świeci". Owa Rumunia, którą stawiano za wzór innym państewkom bałkańskim, okazała się równie mało kulturną, jak Bułgarya, Serbia, lub Czarnogóra. Co gorzej nawet, w żadnem z wymienionych państewek nie przyszło dotąd do tego rodzaju ekscesów, do podobnego wybuchu niczem nieokiełznanej nienawiści rasowej i klasowej, jak na Wołoszczyźnie i w Multanach.

Poprzednio podawaliśmy Czytelnikom dokładne sprawozdania z przebiegu rozruchów w Rumunii, które, dzięki energii nowego gabinetu, rozwiniętej w ostatniej chwili zdają się być chwilowo stłumione; dziś podajemy wizerunki rumuńskiej rodziny królewskiej, związanej tak blisko z losami przybranej ojczyzny.

Król Karol I, liczy obecnie lat 68, a pochodzi ze starszej, katolickiej, linii Hohenzollernów. W roku 1866 ówczesny prezydent ministrów, Joan Brotiunu, ofiarował mu tron książęcy rumuński, który też przyjął, dzięki poparciu Napoleona III-go. Początki panowania miał trudne, tak, że nawet chciał ustąpić, gdy w roku 1871, wskutek intryg rosyjskich wybuchnął w kraju ruch, skierowany przeciw jego osobie. Dopiero wojna z lat 1877/78, gdy armia rumuńska uratowała wojska rosyjskie z wielkiej opresyi pod Plewną i okryła się chwałą, zyskała mu wielkie sympatye poddanych. W roku 1881 ogłoszony został królem Rumunii, która już w początkach 1877 roku zerwała wszelkie stosunki lenne względem Turcyi. Zdawało się,

że pod jego rządami Rumunia poczyniła wielkie postępy na polu kulturnem i że jego osobista powaga, jako wzorowego monarchy konstytucyjnego, zapewnia Rumunii pokój i normalny rozwój życia polityczno-społecznego. Tymczasem fakta ubiegłych tygodni mówią co innego. Jedynie armia, zorganizowana pod osobistym kierunkiem króla, nie zawiodła i za jej to pomocą zdołano stłumić na razie groźne rozruchy. Król Karol, który wielce przywiązał się do swej nowej ojczyzny, będąc mocno niezdrów ostatnimi czasy, tak odczuł to, co zaszło w Rumunii, że stan jego budzi poważne obawy.



Królewska rodzina rumuńska: Elżbieta, królowa rumuńska (poetka Carmen Sylva)

Królowa Elżbieta, z domu księżniczka Wied, ur. w 1843 r. wyszła zamąż w r. 1869. Znaną jest ze swej dobroczynności oraz usiłowań około podniesienia wychowania dziewcząt rumuńskich, a także podniesienia przemysłu domowego, oraz jako poetka, pisująca pod pseudonimem „Carmen Sylva“.

Następcą tronu jest bratanek Króla Karola, ks. Ferdynand, drugi syn księcia Leopolda Hohenzollerna, starszego brata króla Karola, który jest bezdzietnym. Ożenił się on w 1893 r. z księżniczką Maryą Sasko-Koburgsko Gotajską, z którą ma dwóch synów i dwie córki.

Gdy w roku ubiegłym święciła Rumunia 40-letni jubileusz rządów króla Karola piękną wystawą w Bukareszcie, nikomu przez myśl nie przeszło, że w niespełna rok kraj ten stanie się pastwą strasznych pogromów, których ofiarą padli nietylko żydzi, że spłynie cały krwią że poniesie milionowe nie do powetowania straty, słowem, że jego rozwój ekonomiczny i kulturalny zostanie wstecz cofnięty na lat wiele.



Królewska rodzina rumuńska: Karol I. król rumuński.

Pielgrzymka do „świętego“ miasta.

Wiadomo powszechnie, że jednym z obowiązków, jaki wypełnić koniecznie nakazuje Koran swym wyznawcom, jest odbycie przynajmniej raz w życiu pielgrzymki do „świętego miasta“ Mekki. Toteż od najdawniejszych czasów istnienia islamu, gromady „wiernych“ spieszą ze wszystkich stron do odległej Arabii, aby dokonać t. zw. „haddez“, tj, pielgrzymki do Mekki, obejść siedmkroć „Kaabę“, gdzie mieści się największa świętość mahometan „czarny kamień“, złożyć odpowiednią ofiarę, odbyć przepisane ablucye itd. Liczba pielgrzymów dochodzi corocznie do 100.000, a wzmogła się od czasu, gdy skutkiem otwarcia kanału Suezkiego dostęp do Mekki przez Morze Czerwone został znacznie ułatwiony.

I dziś jeszcze około 30.000 ludzi corocznie dąży lądem do Mekki i Medyny, gdzie znajduje się grób Mahometa, w większych i mniejszych karawanach, z których najsłynniejsza wyrusza z Kairu po ukończonym „ramazanie“, będącym rodzajem wielkiego postu dla muzułmanów, a przypadającym w dziesiątym miesiącu ich kalendarza.

Jedna z rycin, podanych w dzisiejszym numerze, przedstawia chwilę przed wyruszeniem właśnie tej karawany, gdy wszyscy obecni modlą się i gdy barany zostają zabijane na ofiarę. Karawana ta wiezie ze sobą co roku wspaniałą ofiarę, zwaną „kiswa“, podarunek sułtana tureckiego, zasłonę którą okryta jest „kaaba“. — Na innej rycinie widzimy pielgrzymów, odpływających z Tunisu na specyalnym parowcu, dla nich wynajętym.

Trzecia wreszcie — daje widok wnętrza meczetu „El Haram“ w Medynie, zbudowanego na miejscu domu, gdzie umarł Mahomet i gdzie też mieści się jego grobowiec.

* * *

Tak Mekka, jak Medyna, są dla „giaurów“ nie dostępne. Jednakże kilku Europejczykom, jak Burckhartowi i Burtonowi, udało się tam dostać w mahometańskiem przebraniu. Dopiero jednak teraz, gdy sami mahometanie posiedli sztukę fotografowania, mamy dokładne wyobrażenie, jak wyglądają te świętości islamu, do których spieszą „wierni“ tak dobrze z lodowatych pól Syberyi, jak z podrównikowych wysp Oceanu Indyjskiego lub z krańców zachodniej Afryki. Ani trudy podróży, ani niebezpieczeństwa z nią związane, nie mogą ich powstrzymać od tego — w ich przekonaniu — świętego obowiązku.



Pielgrzymka do »świętego« miasta. Na pokładzie statku, wiozącego pielgrzymów tunetańskich do Mekki.

Z marynarki austro-węgierskiej.

W obecnych czasach odbywa się — jak ktoś dobrze określił — pojedynek na śmierć i życie między pancerzem stalowym, który kryje statki



Królewska rodzina rumuńska: Ks. Marya, żona rumuńskiego następcy tronu, ks. Ferdynanda.

wojenne, a pociskami artyleryi, których zadaniem jest go przebić. Ten pojedynek przechodzi rozmaite fazy. Skoro bowiem inżynierom i przemysłowcom uda się skonstruować pancerz stalowy tak gruby i twardy, że go nie są w stanie przedziurawić istniejące pociski, już sobie łamią głowę nad tem inni, aby stworzyć pocisk, któremu nie mógłby oprzeć się ów najnowszy pancerz.

Tak, jak dziś sprawa ta stoi, pociski artyleryi morskiej są górą: niema pancerza, któryby oparł się ich działaniu. To też interesującemi są wielce odnośne doświadczenia, dokonywane przez marynarki europejskie w czasie pokoju.

W dzisiejszym numerze podajemy podobizny siedmiu dzielnych marynarzy, rozmaitych stopni podoficerów, należących do marynarki austryacko węgierskiej, którzy odznaczyli się w roku ubiegłym przy ostrem strzelaniu do celu o nagrodę, jako kierujący działami wielkich, średnich i małych kalibrów, oraz działami szybkostrzelnemi i kartaczownicami.

Cel utwierdzony jest na pełnem morzu na kotwicach. Strzela się do nich ze statków płynących na prost i to ze znacznych odległości. Celne więc strzały w tych warunkach są bardzo trudne i dowodzą, że marynarka, która posiada w swym składzie ludzi umiejących tak celnie strzelać, należy do wzorowych.

Wedle sprawozdań odnośnych władz, wyniki ostatniego strzelania na morzu były nader zadawalające i okazują znaczny postęp w porównaniu z wynikiem lat ubiegłych. Stwierdził to komendant marynarki admirał hr. Montecuccoli, wyrażając eskadrze swą pochwałę za jej wzorową działalność w ogóle, a specyalnie za znakomitą sprawność w strzelaniu do pływających celów.

Teatr ludowy w Kołomyi.

Z inicyatywy byłego dyrektora teatru rusińskiego, p. Biberowicza, założyło przed sześciu laty grono nauczycieli szkół ludowych w Kołomyi teatr ludowy. Myśl była śmiała, a trudności do pokonania ogromne. Mimo to pożyteczny pomysł uwieńczyło powodzenie zupełne, dzięki wytrwałości i energii inicyatorów, zwłaszcza, że dobre chęci ich wspierała rutyna i znajomość spraw teatralnych tak utalentowanych i zamiłowanych reżyserów, jak pp. Biberowicz i Kaczorowski.

Od początku teatr ludowy w Kołomyi spotykał się z gorącem uznaniem ogółu, a przedstawienia odwiedzały licznie nietylko te warstwy ludności, dla których je przeznaczono, lecz nadto korzystała z nich inteligencya miejscowa i okoliczna, znajdując rozrywkę przyjemną i tanią. Ceny bowiem są istotnie bardzo niskie, ale za to wielka sala Kasy oszczędności bywa zawsze pełną po brzegi w każdą niedzielę, w każde święto, a w te dni właśnie odbywają się przedstawienia ze względu na publiczność pracującą, na robotników i służbę. Większość widzów stanowią ludzie, którzy poprzednio szukali w niedzielę jedynie zabójczej rozrywki przy kieliszku za rogatkami miasta. W ciągu swego sześcioletniego istnienia, kołomyjski teatr ludowy kółka pedagogicznego wystawił wiele sztuk nawet trudnych jak na stosunki trupy amatorskiej na prowincyi; między innemi z powodzeniem grano: „Halkę", „Córkę pułku" itd.

Z poza sfer nauczycielstwa miejscowego biorą stale udział w przedstawieniach amatorzy o wybitnym talencie, jak dr. Łuniewski z żoną i p. Green.

Świeżo z okazyi sześciolecia odbyło się uroczyste przedstawienie sztuki ludowej p. t: „Zagroda Sobkowa", w czasie którego wydział z prezesem p. Korzeniowiczem na czele, wręczył p. Biberowiczowi dyplom z powodu mianowiania go w uznaniu istotnych zasług, honorowym członkiem założycielem.

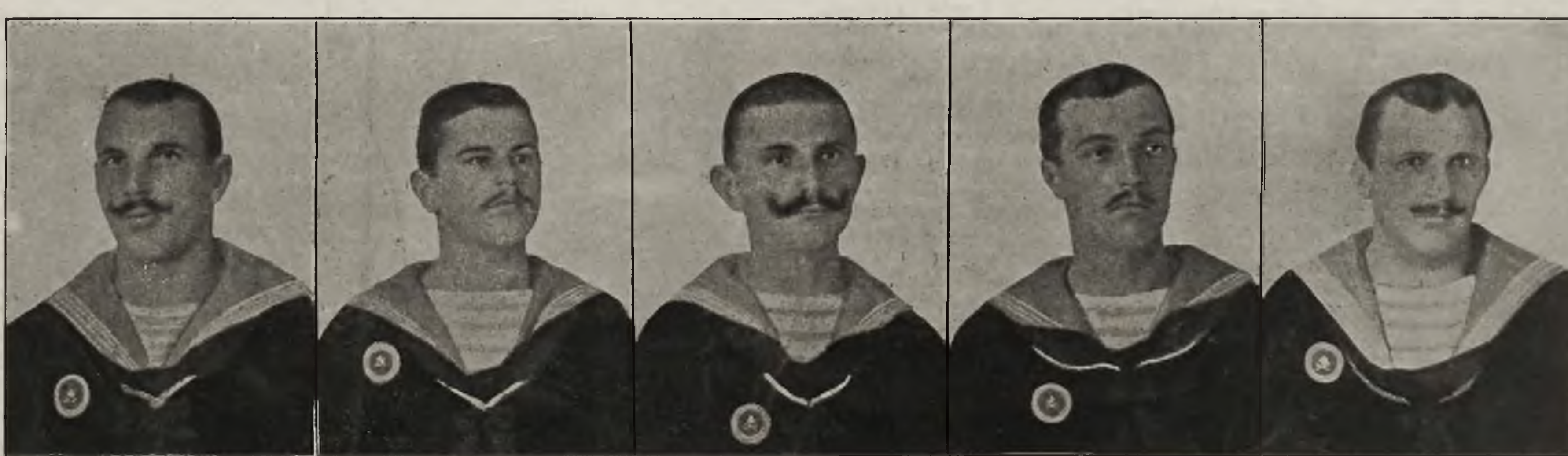


Pielgrzymka do »świętego« miasta: Grób Mahometa w meczecie w Medynie.



Pielgrzymka do »świętego« miasta: Modlitwa przed wyruszeniem karawany pielgrzymów z Kairu do Mekki.

Po przedstawieniu dokonał zdjęcia całej trupy przy sztucznem oświetleniu fotograf miejscowy p. Droździewicz (firma „Maryla“) a reprodukcyę tej grupy zamieszczamy w dzisiejszym numerze. Są to uczestnicy przedstawienia „Zagrody Sobkowej“: pp. Biberowiczowa, Kaczorowski, Biberowicz, Łuniewska, Taklińska, Pilawski, dr. Łuniewski, Michajlukowa, Kaczorowska, Michajluk i Łoziński (dyrygent chóru).



Z marynarki austro-węgierskiej: Podoficerowie, kierownicy dział, odznaczeni nagrodami przy ostatniem ostrem strzelaniu eskadry: R. Standl. — F. Hayder. — A. Bilaus — L. Pertot. — C. Rack.

Idylla dyplomatyczna.

(Do illustracyi na stronie 2).

Jednem z najsztuczniejszych przymierzy, jakie zna historya nowożytna, jest wbrew naturalnym interesom sprzymierzeńców skojarzone przez Bismarka t. zw. „trójprzymierze“. Rzecz prosta, że na tym związku najwięcej korzystają Niemcy, mając z jednej strony zapewnioną pomoc Włoch na wypadek wojny z Francyą, z drugiej zaś — pomoc Austro-Węgier, gdyby im przyszło walczyć z Rosyą.

Takie jednak nienaturalne przymierza mają to do siebie, że mogą być zawierane tylko na czas krótki, pod wpływem grożących okoliczności, „à la longue“ bowiem nie przedstawiają nic trwałego. Toteż od lat dwudziestu przeszło, jak istnieje „trójprzymierze“, nie upływają dwa lub trzy lata, żeby nie restaurowano tego walącego się gmachu, w którym, wedle zapewnień interesowanych, mieści się pokój Europy.

Ciekawa przytem zachodzi okoliczność. Niemcy nie tyle troszczą się o trzeciego spólnika — Austro-Węgry — ile o Włochy. Łatwo to zrozumieć, gdy przypomnimy sobie, że jeszcze za czasów twórcy trójprzymierza, Bismarka, bez wiedzy Austro-Węgier zawarły one układ kontrasekuracyjny z Rosyą. Lekceważą sobie monarchię Habsburgów, a na Włoszech zależy im na wypadek wojny z Francyą wojny więcej prawdopodobnej, niż wojna z Rosyą.



Z marynarki austro-węgierskiej: Odznaczeni przy strzelaniu podoficerowie, K. Leffler i P. Fabicz.

I znów teraz „słodki“ wykonawca woli cesarza-polityka, książę Bülow, spotkał się podczas feryj wielkanocnych z włoskim ministrem spraw zagranicznych Tittonim w Rapallo na włoskiej riwierze „di Levante“.

Tam, wśród upajających zapachów kwitnących drzew pomarańczowych, cytrynowych i migdałowych, w otoczeniu wspaniałej natury omawiano naturalnie sposoby trzymania w szachu całego świata w myśl zasady: „si vis pacem, para bellum“. Przy tych naradach, nie był obecny austro-węgierski minister spraw zagranicznych br. Aehrenthal. Nie przeszkodzi to jednak, aby Delegacye austryacko-węgierskie na najbliższej sesyi nie uchwaliły znów olbrzymich wydatków na cele „zbrojnego pokoju“.

Zato jednak będziemy mieli tę satysfakcyę, że gdy w parlamencie Rzeszy, lub w obustronnych Delegacyach, będzie mowa o polityce zagranicznej, usłyszymy znów zapewnienie o „trwałości“ trójprzymierza i o pokoju niczem niezamąconym, którego Europa będzie używała pod egidą dział szybkostrzelnych, powiększenia kawaleryi, nowego bezdymnego prochu i tym podobnych „kulturalnych“ wynalazków.

Idylla ministeryalna odbije się niezawodnie na kieszeni płacących podatki z tej i tamtej strony Litawy, a oddających swe grosze ostatnie dla korzyści panów z nad Sprewy.



Fot. »Marylla«, Kołomyja.

Teatr ludowy w Kołomyi: Uczestnicy przedstawienia »Zagrody Sobkowej« w Teatrze ludowym Kółka pedagogicznego w Kołomyi.

Niezwykła zbrodnia

POWIEŚĆ KRYMINALNA

przez Goron'a, byłego szefa bezpieczeństwa w Paryżu.

Tłomaczyła z francuskiego Marya S.

2

Wszyscy oczekiwali teraz z naprężeniem, by człowiek, którego schwytano uciekającego z willi, odzyskał przytomność. To on musiał być niewątpliwie sprawcą podwójnej zbrodni.

Ubrania, tlące się w kominku, wytłomaczyły nagość trupa.

Morderca widocznie chciał zatrzeć za sobą wszelki ślad, mogący odkryć nazwisko ofiary.

Chciał spalić odzież, ale nawpół zaduszony buchającym dymem ze źle funkcyonującego kominka, rzucił się do ucieczki, bojąc się o własne życie. To go zdradziło i wydało w ręce sprawiedliwości...

Komisarz silnie podniecony, oczekiwał z nerwową niecierpliwością, by morderca nareszcie oczy otworzył i mógł odpowiedzieć na jego zapytania.

Podczas gdy doktor czynił różne wysiłki, by go przywrócić do przytomności — komisarz rozpoczął przed przybyciem szefa policyi — badanie świadków.

Z pokorną miną ludzi, którzy boją się wszelkiego zetknięcia z organami policyi, „Brzoskwinia“ i „Podwójna Nitka“ wymienili swoje nazwiska i rodzaj zajęcia.

— Wiktor Falampin — szepnął „Brzoskwinia“ — Służyłem w Afryce. Mieszkam w oberży pod „Czterema talarami“.

— Gustaw Lartier, przezwany „Podwójną Nitką“, mieszkam razem z towarzyszem.

— Jesteśmy posługaczami przy przewozie mebli, panie komisarzu.

— Nie wiele wiemy. Przechodząc, uczuliśmy spaleniznę, chcieliśmy okno otworzyć...

— W najlepszej myśli...

— Tak jest, w jak najlepszej myśli.

Pan Varangaud nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Odgadł to, czego mu dwaj włóczędzy nie dopowiedzieli.

— Dobrze. Bądźcie gotowi na każde zawołanie sędziego, który nadejdzie lada chwila

— Oj, nie mamy szczęścia! Mieliśmy iść dzisiaj do roboty...

— Dzień stracony...

Komisarz zapisał ich nazwiska.

Pan Boitard, zmordowany, sapiący jak miech kowalski, powracał właśnie ze stosem koców i kołder. Po nabraniu tchu i chwilowym wypoczynku, wymienił przed komisarzem swoje nazwisko, swoje zatrudnienie, jak również, że jest właścicielem tej willi.

— Czy zna pan tę kobietę? — spytał komisarz.

— Nie, proszę pana; nie widziałem jej nigdy w życiu.

— A tego człowieka?

Komisarz wskazał na człowieka, leżącego na kanapie.

— Także nie.

— Jakto? ten człowiek nie jest pańskim lokatorem?

— Nie!

— Komuż więc pan wynajął willę?

— To było tak: Od niedawna jestem właścicielem tego domu. Jestem kupcem, posiadam skład mebli przy ulicy Des Dames... Ponieważ ta willa była na sprzedaż wystawiona, postanowiłem ją kupić, umeblować i w części odnająć, zachowując sobie stryszek jedyny w tym domu, do którego mogę się dostać przez małe ukryte drzwi, tam w tyle.

— Czy przez te drzwi można się tu dostać — przerwał komisarz opowiadanie właściciela pawilonu.

— Nie. Było co prawda małe, kryte przejście za tem łóżkiem, lecz kazałem je zamurować.

— Dobrze, proszę, mów pan dalej.

— Trzy, lub cztery dni temu... nie pamiętam dokładnie; jaki dzień mamy dzisiaj?

— Wtorek.

— A więc to było w piątek po południu, zjawił się u mnie człowiek około 50 lat, gruby, przysadkowaty, o krótkich siwych włosach, o gęstej, dość długiej brodzie. Chciał willę wynająć. Porozumieliśmy się w kilku słowach.

— Jego nazwisko?

— Piotr Patrel, lat 54, zamieszkały w Londynie.

— Czy pan widział jego dokumenta?

— Przyznam się, że nie.

— To szkoda — szepnął komisarz.

— Zapłacił z góry umówioną cenę... zresztą, czy ja mogłem przewidzieć, co się stanie?

— Poznałby go pan?

— O! z wszelką pewnością.

— Niech pan patrzy...

Komisarz przyciągnął pana Boitard do kanapy.

Właściciel willi, wchodząc, nie dostrzegł nagiego trupa ukrytego za kanapą. Na widok zamordowanego cofnął się przerażony.

— Cóż to jest? — zawołał z przestrachem — druga ofiara... Ależ to istna mordownia, ten pokój!...

I po chwili łatwego do zrozumienia wahania, obejrzał dokładnie trupa.

— Ten człowiek jest tym samym, który wynajął odemnie willę — rzekł pewnym głosem prostując się pan Boitard — i mówił, że się nazywa Piotr Patrel.

II.

Zagadka.

W chwili, gdy dzięki usilnym staraniom lekarza chory człowiek nareszcie wrócił do przytomności, Pan Pardoux, pomocnik prokuratora Rzeczypospolitej w zastępstwie samego nieobecnego prokuratora nadjechał w towarzystwie pana Cardec, szefa bezpieczeństwa i swojego sekretarza. Towarzyszył mu główny inspektor policyjny.

Pan Pardoux był to niski, trzydziestoletni człowiek, suchy, nerwowy, bardzo pewny siebie. Był on potomkiem rodziny, której kilku członków odznaczyło się chwalebnie w historyi policyi paryskiej.

Dość tępego umysłu, owładnięty bezgraniczną ambicyą, próżnością. która zdradzała się w każdem jego słowie. Był to człowiek dumny aż do śmieszności ze stanowiska, jakie zajmował w świecie... I teraz przybywał z miną nadętą i wyniosłą, zadowolony z nieobecności szefa i z wypadku, w którym mógł wykazać domniemane przez siebie samego zdolności. Wyniosłym, zimnym tonem zapytał o szczegóły, zanotowane przy pierwszem skonstatowaniu faktów i przesłuchaniu najbliższych świadków przez komisarza Varangaud.

Pan Cardec przez ten czas obserwował z ciekawością dwóch posługaczy, którzy napróżno starali się uczynić jak najmniejszymi, chcąc ujść uwagi przenikliwych oczu urzędników policyi.

Poznał on obydwóch drabów. Już nieraz miał z nimi do czynienia w swej kancelaryi w drobnych sprawach i przypomniał sobie, że Wiktor i Gustaw oddali mu niejednokrotnie drobne usługi, dając mu pewne wskazówki, dzięki którym mógł odszukać i oddać w ręce sprawiedliwości długo poszukiwanych a bardzo niebezpiecznych ptaszków.

Zwrócił się do inspektora:

— Słuchajno, panie Jaminot, zdaje mi się, że się nie mylę... to są...

— „Brzoskwinia“ i „Podwójna Nitka“, tak jest do usług pana.

Widząc, że to o nich mowa, posługacze starali się jeszcze lepiej ukryć.

Pan Cardec zbliżył się do nich:

— No, co tam! Macie coś na sumieniu w tej sprawie. kiedy się tak ukrywacie? — spytał.

— O! na pamięć naszej babki! Jesteśmy niewinni! — odpowiedział pokornie Wiktor.— Jesteśmy tylko świadkami..

— Na nieszczęście — dodał szeptem Gustaw.— I tracimy dużo przez tę głupią historyę. Mieliśmy dziś termin...

— I robotę mieliśmy...

— Cały dzień zmarnowany...

Szef policyi wyciągnął bez słowa dwie sztuki pięciofrankowe z kieszeni i podał je „Brzoskwini“ i „Podwójnej Nitce“. Nie mógł powstrzymać się od uśmiechu na widok ich twarzy, wyrażających równocześnie zdziwienie, pożądanie i bojaźń pokorną.

— No, chłopcy, bierzcie; to zadatek na przyszłe wasze usługi.

— Dziękujemy; potrafimy być wdzięczni za dobroć pana szefa.

Dr. Mingret ciągle zajęty był chorym. Posłany na jego żądanie ajent przyniósł z apteki flaszkę z lekarstwem. Na flaszce widniał napis: „Syrop na wymioty“. Lekarz wlał przemocą kilka łyżek lekarstwa pomiędzy zaciśnięte zęby nieznajomemu człowiekowi.

— Potrzeba mi miednicy — rzekł do otaczających go. — Tam w gabinecie toaletowym powinna się znajdować. Proszę przynieść szybko.

Pan Pardoux, który w towarzystwie inspektora przepatrywał dokładnie szczątki spalonych ubrań, powstał nagle usłyszawszy te słowa.

— Proszę nic nie ruszać! — zawołał ostro.— Wszystko powinno pozostać nietknięte, aż uczynię dokładne i drobiazgowe badania!

— O, to mnie wcale nie wzrusza! — zamruczał doktor.— Ja mam chorego tutaj a reszta mnie zupełnie nie obchodzi!

Urzędnik wyprostował się, silnie dotknięty.

— Sprawiedliwość i obowiązek są rzeczami najwyższej wagi — dodał napuszonym tonem — panie doktorze, chory może poczekać.

— Tak się panu zdaje? — towarzyszył temu wykrzyknikowi charakterystyczny, a wiele mówiący ruch ramion.

Pan Pardoux silnie zirytowany chciał stosownie odpowiedzieć; doktor nie dał mu przyjść do słowa.

— Obejdzie się — rzekł z wielkim spokojem — kubeł, który się tu, znajduje wystarczy mi w zupełności.

Porwał kubeł, który służył przed chwilą do gaszenia ognia i postawił go przed chorym. Lekarstwo zaczynało już działać.

Dr. Mingret zawołał ajenta.

— Proszę, potrzymajcie mu głowę. O, tak! dobrze

Chory po chwilowej uldze otworzył oczy. Raziło go jeszcze światło.

Doktor nie zwracając uwagi na podprokuratora i na jego postawę pełną aroganckiej opozycyi — podszedł spiesznie do nocnego stoliczka, znajdującego się przy łóżku.

Na małej posrebrzanej tacy stały dwa kieliszki i butelka Chartreuse.

Powąchał butelkę i kieliszki, nalał sobie na rękę kilka kropel pozostałego likieru. Wypił je powoli, smakując z widocznem rozczarowaniem.

Pan Cardec odgadł od pierwszej chwili podejrzenia lekarza.

— Pomyślałeś pan o truciźnie, doktorze?

— Tak, lecz może się mylę. Węch mnie oszukał. Jednakże pożądaną byłoby rzeczą poddać ten likier analizie chemicznej.

— Zapewne — odezwał się dumnie podprokurator.

Doktor spojrzał na niego chytrze.

— To nie do mnie należy — odparł spokojnie...

W tej chwili chory usiłował powstać, lecz nazbyt jeszcze osłabiony, opadł z powrotem na kanapę.

— Gdzież ja jestem? — szepnął — czego chcą odemnie?

— Czy możemy już temu człowiekowi zadać pewne pytania? — zapytał pan Pardoux.

— Za chwilę będzie w stanie zadość uczynić pańskiemu żądaniu — odpowiedział lekarz. — Jednakże nie radziłbym męczyć go bardzo.

— Wiem najlepiej sam, co mi czynić wypada. Nie potrzebuję wskazówek. Obowiązek przedewszystkiem!

Pod tą poważną formułą podprokurator ukrywał główną swoją wadę. Miał niedobry zwyczaj przyspieszania nienaturalnie biegu rzeczy i teraz chciał wyjaśnić całą sprawę przed powrotem swojego szefa.

— Niech pan robi, co się panu podoba! — zawołał szorstko oburzony lekarz. — Na mnie chorzy czekają.

— No, a pańskie sprawozdanie?

— Jakie?

— O uczynionych badaniach?

— Nie mam nic do powiedzenia.

— Pan pierwszy obejrzałeś trupy. Musi pan zeznać pisemnie skonstatowanie śmierci.

— Ani myślę. Mogę tylko powiedzieć, że ci ludzie nie żyją. Więcej nic. Do licha! Moi sławni koledzy mogliby się czuć urażeni, że im zdmuchnąłem z przed nosa taką dobrą okazyę do sekcyi medycznej i wzmianki w dziennikach. Sprowadź ich pan! Zobaczysz jak się rozpiszą, to gratka dla nich... ja się w takie rzeczy nie bawię, dosyć tam biedaków na mnie czeka!

Pan Cardoux usiłował nalegać.

— Panie podprokuratorze — rzekł dr. Mingret ironicznie — cokolwiekbym powiedział lub napisał, nie przyda się na nic.. Te trupy zostaną odstawione do „Morgue“, gdzie lekarz fachowy wyda panu orzeczenie o rodzaju ran, no i będzie po krzyku!... Co do mnie, powiedziałem już swoje, że na mnie czekają... a ludzie cierpiący nie powinni czekać! Mam zaszczyt pożegnać pana —

to mówiąc, pożegnał się z obecnymi i wyszedł z pokoju.

— Szczególny eskulap! — zauważył z pogardą pan Pardoux po wyjściu lekarza.

— Trochę oryginalny, to prawda—odrzekł komisarz—ale jest on bardzo ceniony i lubiany w tej dzielnicy.

— Łatwa popularność!

— To filantrop — dodał pan Cardec. — Znam go dobrze... Opowiadają o nim wzruszające historye. Jest bardzo zdolny i mógł zajść wysoko... ale sam obrał sobie ten kierunek. Gdy go wzywają, przychodzi spiesznie, leczy, opiekuje się, ale nigdy sam nie zażąda honoraryum. Toteż płacą mu tam, gdzie mogą.

— Rzadki okaz! — rzekł pogardliwie podprokurator. — Kwalifikuje się on do pierwszej nagrody.

Pan Pardoux przerwał nagle.

W pokoju odgrywała się tragiczna scena. Nieznajomy człowiek powstał i przeszedłszy z trudnością, chwiejąc się, kilka kroków, zatrzymał się nagle. Ujrzawszy trupa kobiety krzyknął przeraźliwie. Oczy jego, jakby zahypnotyzowane, nie mogły się oderwać od tego ciała, od twarzy wykrzywionej straszliwie w ostatnim spazmie agonii...

Nareszcie obejrzał się wokoło.

Oczy mu mgłą zaszły, serce biło tak silnie, że o mało nie rozrywało piersi.

Szeptał jakieś niezrozumiałe wyrazy.

— Gdzież jestem? Na miłość boską, gdzie jestem? — powtarzał, jak przed chwilą.

Ajenci mieli się już na niego rzucić.

— Zostawcie go — rozkazał podprokurator.

Nieznajomy odwrócił się.

Teraz dopiero zobaczył drugiego nagiego trupa odrzynającego się siną bladością na purpurowem tle dywanu, na którym leżał.

— Oh! oh! — wyszeptał zamierającym głosem — czy ja śnię? To straszne!

Rękami przyciskał konwulsyjnie czoło.

— Oh! moja głowa! — zajęczał. — Jak ja cierpię!

Lecz ta chwila nieprzytomności nie trwała długo. Siłą otrząsnął się z ogarniającej go niemocy, podniósł głowę i spotkał się ze wzrokiem śledzącego go pana Pardoux.

— Panie! — zapytał. — Co to wszystko znaczy? Te trupy... ci ludzie tutaj?

. . . .

— Proszę usiąść — rzekł surowym głosem podprokurator, usiłując zmiażdżyć przeciwnika błyszczącym wzrokiem. Wytłomaczymy to panu trochę później. Przedewszystkiem proszę odpowiadać na pytania. Nazwisko pańskie?

Nieznajomy drgnął jakby pod ukłuciem i wyniośle nie dbając o okolicznościach, w jakich się znajdował, odpowiedział z dumą:

— Nie mam panu nic do powiedzenia.

Pan Pardoux rad w głębi z tego nieoczekiwanego oporu, dającego mu pole do wykazania swoich zdolności — odrzekł jeszcze surowszym tonem:

— Żarty nie są tu na miejscu.

— Dowiedz się pan, że nie zwykłem żartować. Powtarzam: proszę mnie pozostawić w spokoju.

— Jestem przedstawicielem sprawiedliwości i mam prawo zapytać pana, jakim sposobem znajdujesz się pan w tym pokoju w towarzystwie oto tych dwóch trupów... Jestem podprokuratorem Rzeczypospolitej i proszę pana o wytłomaczenie tego podwójnego morderstwa...

Pan Pardoux nie mógł dokończyć.

Nieznajomy powstał, drżąc nerwowo, z twarzą boleśnie wykrzywioną.

— A wytłomaczenie podwójnego morderstwa — powtórzył. — Ależ jesteś pan chyba waryatem! — i zaśmiał się nerwowym, nienaturalnym śmiechem. Ależ tak, tak... pan jesteś waryatem! waryatem!.. albo też... grasz pan ze mną komedyę!...

Śmiech jego metaliczny, złowrogi, rozległ się w ciszy pokoju. Nareszcie uspokoił się, usiadł na kanapie i przesunął kilkakrotnie rękami po oczach. Z zimnym uśmiechem zdobywcy, patrzącego na swoją ofiarę, pan Pardoux przyglądał się nieznajomemu. Ten ostatni widocznie usiłował zebrać rozpierzchłe myśli. Na twarzy jego malowało się raz po raz zdziwienie, głucha złość i okropne przerażenie człowieka, który stacza się w przepaść z uczuciem, że nic nie jest w stanie wyratować go z tego śmiertelnego upadku, usiłując na próżno uczepić się czegokolwiek, coby mogło mu dać nadzieję ratunku.

Pan Pardoux i szef bezpieczeństwa śledzili każdy ruch nieszczęśliwego. Przeczuwali, że mieć będą do czynienia z człowiekiem wielkiej energii, przeciwnikiem trudnym do zwalczenia pomimo chwilowej porażki i utraty sił, który uzyskawszy normalną władzę umysłową stać się może panem siebie i walczyć będzie z przeciwnościami do ostatka.

Po chwili namysłu nieznajomy odezwał się grzecznie:



— Nie mam panu nic do powiedzenia. .

— Panie podprokuratorze... wiem jakie względy winienem przedstawicielom sprawiedliwości.

Błyskawica zwycięstwa przebiegła w oczach pana Pardoux. Z tryumfującą miną zwrócił się do p. Cardec, chcąc szepnąć mu coś do ucha. Ale ten nie znajdował się przy nim. Słuchał objaśnień, jakich mu udzielał inspektor Jaminot, który podczas tej rozmowy nie tracił czasu i przeszukiwał każdy kącik. Na spinkach mankietów znalezionych na kominku, odkrył wyryte dwie litery: L. G.

— Ale przecież obowiązkiem pana jest odpowiadać na pytania — ciągnął dalej podprokurator. — Powiedz pan czem się zajmujesz i kim jesteś?

— A jeżeli odmówię?

— Będzie to rzecz szkodliwa dla pana — rzekł przybliżając się p. Cardec.

Nieznajomy zastanowił się i rzucił okiem na mankiety, które szef bezpieczeństwa trzymał w rękach.

— Jestem Ludwik Guichard — rzekł z wahaniem. — Jestem kapitalistą, mieszkam w Nancy.

— L. G... — szepnął Jaminot do ucha pana Cardec — rzecz się wyjaśnia.

— Do dyabła! — krzyknął nagle nieznajomy, lecz w tejże chwili zapanował nad sobą.

— Co miało znaczyć to „do dyabła" — spytał zaciekawiony podprokurator.

Pan Cardec zaś czytał jasno na twarzy nieznajomego, że skłamał. Spostrzegł lekki rumieniec, przebiegający jego twarz.

— Co znaczył ten okrzyk? — nastawał podprokurator.

— To nic! Chciałem zaznaczyć, że to jest zupełnie naturalne, iż litery odkryte przez tego pana na spinkach moich mankietów zgadzają się z mojem nazwiskiem... Ludwik Guichard. To, co powiedziałem, jest dokładne...

Przy końcu tego zdania Guichard zawahał się. Podprokurator nie zauważył tego, nie uszło to jednak uwagi p. Cardec.

Przeciwnik nie powiedział, że „to jest prawdziwe". Widocznie wiedział, czego się ma trzymać, choć nie mógł całkowicie ukryć lekkiego niepokoju i zakłopotania.

Podprokurator uniesiony gorliwością, widząc, że dziwna ta sprawa może mu wiele korzyści przynieść, zdawał się zupełnie zapominać o poleceniach dra Mingret.

Chciał Guicharda zasypać pytaniami, sądząc, że ten w końcu znuży się i bezwiednie przyzna się do popełnienia zbrodni.

— Odkąd pan znajdujesz się w Paryżu? Gdzie mieszkasz?

— Odpowiem dopiero wtedy, gdy się dowiem, gdzie jestem i o co mnie panowie posądzacie?

— Jesteś pan posądzony o dokonanie podwójnej zbrodni w tej willi i o rozmyślne wzniecenie pożaru — wyrzekł dobitnie podprokurator, akcentując słowa i rzucając na oskarżonego piorunujące spojrzenie.

— I na jakich podstawach opiera pan to naiwne oskarżenie?

Pan Pardoux został zaskoczony tem pytaniem. Jaminot w tej chwili zbliżył się do szefa bezpieczeństwa.

— Czy pan widzi tę plamę krwi na kołnierzu koszuli? — szepnął.

— Zanotuj to pan, — a teraz czekajmy — rzekł p. Cardec.

— Na jakich podstawach oskarżamy pana — zawołał wybuchając podprokurator. — Ależ pańska wina uderza w oczy każdego. Znaleziono pana uciekającego z tego pokoju w chwili wybuchu ognia. Sądziłeś pan, że o tak wczesnej godzinie nikt pożaru nie spostrzeże, a będziesz mógł zniszczyć wszelkie kompromitujące pana dowody. I pan śmiesz pytać, jakiem prawem posądzamy pana?

— Ależ ja nie znam tego zamordowanego człowieka! Nie widziałem go nigdy!

— I kobietę również pan widzi po raz pierwszy? — zapytał drwiąco podprokurator.

— Ona! ta nieszczęśliwa!

— Tylko bez frazesów — rzekł sucho urzędnik — kto ona jest?

— Ależ ja nic o niej nie wiem.

Obecnych ogarnęło chwilowe zdziwienie.

— Jednakże przed chwilą zdawał się pan ją poznawać.

— Nie znam nawet jej nazwiska.

— Najzwyklejsze kłamstwo!

— Najoczywistsza prawda.

— Ależ wytłomacz się pan!

— Nie będzie to ani długiem, ani trudnem. Nudziłem się wczoraj wieczorem...

Lecz urwał nagle i spojrzawszy po otaczających, wzruszył ramionami, jak człowiek zmęczony, który nie wierzy w ostatni wysiłek.

— Właściwie po co mam mówić. Wiem, że panowie nie uwierzycie, cokolwiek bym zeznał.

— Zła obrona — pomyślał pan Pardoux.

— Człowiek ten obiera system milczenia, bojąc się wpaść w zawikłanie i nielogiczność.

— Ależ pan się myli — zwrócił się z uprzejmym uśmiechem do oskarżonego. W własnym swoim interesie powinieneś pan jaknajzwięźlej nas objaśnić.

Guichard uczynił ruch przeczący głową.

— Nie — nalegaj pan — nic nie powiem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wielki wylew Sanu.

W ubiegły piątek San wylał pod Sanokiem w sposób groźny. Mieszkańcy tamtejsi od wielu lat nie pamiętają tak wielkiej powodzi. Już od dwóch tygodni niepokoił wszystkich zator, który utworzył się powyżej mostu prowadzącego do Olchowic na wysokość 8 do 10 metrów. Po kilkakrotnych prośbach starostwa, przysłano do Sanoka pionierów we czwartek i ci zaczęli rozbijać lód pod wsią Trapczą, skąd zamierzali iść w górę Sanem aż do zatoru za mostem. Robota to jednak była na dni czternaście. A tymczasem nazajutrz w piątek wieczorem wskutek pęknięcia lodów pod Liskiem, wezbrana woda Sanu spływająca z niesłychaną gwałtownością, zboczywszy nagle ze swego łożyska, zalała część Sanoka, tzw. Podgórze, co mieszkańców tamtejszych odcięło zupełnie od reszty miasta. Ludzie widząc w domach swoich wszędzie wodę, tracili głowy, nie wiedząc wśród ciemności, co począć. Ratowano życie, uchodząc na strychy, gdyż woda przedostawała się do mieszkań oknami, niszcząc rzeczy wszystkie wewnątrz, a zarazem zatapiając bydło i trzodę chlewną. Rankiem powódź opadła wprawdzie, lecz woda jeszcze nie ustępowała, a pionierzy telegraficznie z Przemyśla zawezwani, zabrali się energicznie do ratowania powodzią zagrożonych, toteż zdaje się, że ofiar w ludziach nie było wcale. Natomiast szkody są bardzo znaczne i wynoszą przyszło sto tysięcy koron. Powszechnie narzekano na brak w pogotowiu przyrządów do ratowania, jak łodzi, tratew itp., mimo, że wiedziano, iż w Sanoku zanosi się na powódź. W nocy z soboty na niedzielę zator ruszył i poniżej Sanoka utworzył się zator drugi; woda ustąpiła z Podgórza, a wylała na tzw. Wójtostwo, gdzie jednakże szkody poczyniła tylko w polach.

O rozmiarach powodzi we wschodniej części Sanoka, na Podgórzu, dają pojęcie trzy fotografie, które w dzisiejszym numerze reprodukujemy.



Fot. zakład »Adela« w Sanoku.
Wielki wylew Sanu: Część miasta Sanoka, t. zw. Podgórze, podczas powodzi przed tygodniem.



Fot. zakład »Adela« w Sanoku.
Wielki wylew Sanu: Część miasta Sanoka t. zw. Podgórze. podczas powodzi przed tygodniem.



Fot. zakład »Adela« w Sanoku.
Wielki wylew Sanu: Część miasta Sanoka, t. zw. Podgórze, podczas powodzi przed tygodniem.

Pierwszy karawan-samochód.

„Umarli jadą szybko" — powiedział poeta, kiedy jeszcze nie mógł przypuszczać, iż nadejdzie czas, kiedy nieboszczyków będzie się woziło na cmentarze nie końmi, ale na automobilach. Taką nowość zaprowadza już Berlin, gdzie w tych dniach pojawił się niejako na próbę pierwszy karawan-samochód. Czytelnicy nasi mogą mu się przypatrzeć na załączonej fotografii.

Zarząd berlińskiego zakładu pogrzebowego przedstawił policyi taki automobil na usługi nieboszczyków, poczem ten pierwszy karawan bez koni przejechał po najruchliwszych ulicach stolicy, budząc wszędzie niemałą sensacyę, mimo, że był jeszcze próżny.

* * *

Jednym nie podoba się ta nowość, utrzymują bowiem, że na pogrzebie nie zależy nikomu na pośpiechu, wobec czego zastosowanie automobilizmu do karawanów nie ma celu praktycznego, a pozbawia wozy żałobne dotychczasowej ozdoby w postaci pięknego zaprzęgu.

Inni znów pochwalają nowy pomysł, a to z tego względu, że zdarzały się czasem wypadki, iż konie u karawanu spłoszyły się i poniosły, przyczem niekiedy i trumna wypadła z rydwanu żałobnego. Temu bezwątpienia zapobiegną karawany-samochody.



Pierwszy-karawan samochód na ulicach Berlina.

Kronika tygodniowa.

„Koło polskie“ zaimponowało Dumie. Bodaj czy nie pierwszy raz ten parlament spotkał się oko w oko ze stronnictwem parlamentarnem i usłyszał mowy parlamentarne, wygłoszone w formie parlamentarnej. Przemówienia Dmowskiego, Steckiego i Żukowskiego, wolne od wszelkiej frazeologii, a jasno zaznaczające poglądy i dążenia przedstawicieli narodu polskiego, zrobiły wrażenie i wywołały uznanie nawet tam, gdzie go się spodziewać nie było można. Pomijając entuzyastyczny zachwyt dziennika „Birżewyja Wiedomosti“, którego wydawca czuje niejako rodzinne sympatye dla Polaków, ze względu na swe pochodzenie z Królestwa, znajdujemy pochwały dla mowców Koła polskiego w dziennikach rosyjskich prawie wszystkich odcieni. Tak „Ruś“, jak kadecka „Riecz“, jak skrajny „Towariszcz“, jak umiarkowane „Słowo“, jak wreszcie wiecznie na nas szczujące „Nowoje Wremia“, przyznają jednomyślnie, że Polacy wystąpili godnie, z taktem, z prawdziwem poczuciem parlamentaryzmu. Gniewa to wprawdzie „Nowoje Wremia“, że Polacy przy każdej sposobności zaznaczali swą odrębność i swe dążenia autonomiczne, ale przyznaje, że oni jedynie pod względem formy okazali się poprawnymi, że „uzasadnili swą reputacyę subtelnych taktyków i ludzi zdolnych“. Mowa posła Żukowskiego według „Słowa“ „przyniosłaby zaszczyt każdemu parlamentowi zachodnio-europejskiemu“. Jedynie rządowa „Rosja“ stara się przekręcaniem mów polskich osłabić ich wrażenie i tę porażkę, jaką one zadały systemowi rządowemu.

Ten sukces polski wprawił w niemiłe położenie ów odłam naszego dziennikarstwa, który na spółkę z organami istinno-russkimi, kadeckimi, żydowskimi i socyalistycznemi uprawiał szlachetne rzemiosło podkopywania Koła polskiego i lekceważenia jego członków. Czytaliśmy tyle artykułów w tym odłamie prasy polskiej o nicości przedstawicielstwa polskiego, o nieuniknionej jego kompromitacyi, o jego reakcyjności i t. d., że kto bliżej, zwłaszcza u nas w Galicyi, nie znał stosunków, kto nie wiedział o przyczynach tego kłamanego pesymizmu, ten rzeczywiście mógł sądzić, że wynik wyborów w Królestwie zapowiadał klęskę przynajmniej moralną, jeśli nie polityczną. Niestety, temu zapatrywaniu szły na rękę i niektóre galicyjskie dzienniki, już to nie mogąc się zoryentować w stosunkach Królestwa, już to obsługiwane przez pachołków partyjnej nienawiści, lub co gorzej, z pełną świadomością obałamucające opinię dla zrobienia sobie satysfakcyi na... galicyjskim gruncie. Czerniono, obrzucano błotem, ośmieszano tak wybranych posłów, jak i stronnictwa narodowe, które zwyciężyły przy wyborach w Królestwie. Otóż „dzień polski“ w Dumie rzucił snop światła na tę taktykę, przekonał obałamuconych, że się dali uwieść podejrzeniem rzucanem bezmyślnie przez doktrynerów, lub tendencyjnie przez politycznych szarlatanów.

Swoją drogą, jakkolwiek się cieszymy z tego sukcesu moralnego w Dumie, chętnie byśmy się go zrzekli za lepsze wiadomości z Łodzi. Zdawało się, że nareszcie w tym nieszczęśliwym Manchesterze polskim nastanie pokój, że po tysiącach krwawych ofiar, po nieobliczonych stratach ekonomicznych, powrócą robotnicy do pracy i do łyżki strawy, jakiej tysiącom ich brakowało. Bo też Łódź stała się prawdziwą krainą łez, prawdziwym padołem płaczu i niedoli — wszak doszło do tego, że nieszczęśliwi rodzice setkami oddawali dzieci swoje do innych miast Królestwa, aby miłosierdzie ludzkie je nakarmiło i ochroniło od śmierci z głodu lub kuli.

W tem strasznem, ostatecznem położeniu, stanęła wreszcie ugoda między fabrykantami a większością robotników. Uderzono w dzwon pracy, wyszli robotnicy do warsztatów i — posypały się kule. Od kilku dni bojowcy stronnictw skrajnych urządzili formalnie obławę na robotników pragnących pracować. Każdy dzień, to kilka trupów i kilkunastu rannych. W ubiegły piątek naliczono 300 strzałów. Powstał formalny popłoch, pozamykano sklepy, ustał zupełnie ruch uliczny. Szpitale są przepełnione ciężko rannymi. Pomimo to zapisy do fabryk wciąż trwają. Przez dwa dni do fabryki Poznańskiego zapisało się 3,965 robotników. Cyfra ta najlepiej objaśnia, po której stronie jest większość. Całe tłumy pragną pracować — a nieliczna grupa popełnia morderstwa. Dziki, straszny obraz, jakiemu równego nigdy i nigdzie dotąd u nas nie było.

Zagrożone poniekąd jest nawet istnienie Łodzi jako olbrzymiej fabrycznej osady. Wielu fabrykantów nosi się z zamiarem przeniesienia swych fabryk do innych miejscowości, aby uniknąć wielkiego nagromadzenia robotników. Na pierwszym planie są: Kalisz i Łęczyca. Gdyby nie straszne ofiary, to ten wynik strajków byłby nawet pożądany. Taka decentralizacya fabrycznego przemysłu miałaby dobre strony, bo ożywiłaby całe okolice kraju i rozbiłaby ognisko germanizacyi, jakiem jest Łódź wskutek skupienia się żywiołów niemieckich. Ciekawą byłaby statystyka poddanych pruskich, zamieszkujących w Łodzi. Sama Warszawa ma ich 16 200. Naturalnie, że większą ich część stanowią Polacy. Ale i tak 4.000 — 5.000 czystej krwi Prusaków, to już zadużo dobrego. Lecz Łódź posiada ich z pewnością kilka razy więcej — a wszystko to jednostki silne ekonomicznie. Są to naprzód milionerzy i panowie krociowi, a następnie dyrektorowie, buchalterzy, kupcy, inżynierowie, mechanicy, oficyaliści, a co najmniej majstrowie i najlepiej płatni robotnicy. Wszyscy oni duchem żyją w Berlinie. Razem wziąwszy, stanowią siłę, przednią straż zaborczej Germanii. Więc nieźle byłoby, aby ta twierdza „Drang'u nach Osten“ została nieco rozbitą.

Zanim się to jednak stanie, stolica Germanii urządzi wszeświatową wystawę, jeżeli naturalnie zgodzi się na to cesarz Wilhelm. A zgoda z jego strony nie jest pewna. Uśmiecha mu się, co prawda, rola gospodarza przyjmującego cały świat u siebie. Ileżby to mówek mógł wygłosić, w ilużby to kostyumach mógł się ukazać! Ale ileżby to jednocześnie kosztowało! Przyjeżdżaliby różni monarchowie, książęta, nie brakłoby egzotycznych kacyków. O mieszkanie dla nich mniejsza, gdzieś by się tam ich pomieściło. Ale wikt dla nich i dla całej ich asysty — to nie bagatela. A przyjęcia? a zabawy? a podarunki dla służby? Nie, to za grubo pachnie A zresztą wystawa to święto pokoju — należałoby na kilka lat schować miecz do pochwy, żyć ze wszystkimi zgodnie, nikomu nie grozić. To żaden interes, zwłaszcza, że i tak wuj Edward urządza intrygę, proponując częściowe rozbrojenie Europy. Sprawa bardzo głupia, bo propozycya wuja znajduje sporo uznania. Trzeba będzie nie lada zachodów, aby ją obalić. I jak tu w takim czasie myśleć o wystawie, o zaprzestaniu pobrzękiwania szabelką? Ale przedewszystkiem te koszta — brr! Dynastya pruska zawsze brać lubiła, ale rozdawać, to nie w jej zwyczaju.

Gdyby to zresztą posiadać amerykańskie bogactwa. Tam łatwiej o pieniądz niż w Europie o piasek. Tam, na przykład, koszta wyboru prezydenta Stanów Zjednoczonych obliczone są na 15,000.000 dolarów. Sami przyjaciele Roosevelta złożyli 5,000.000, aby go utrzymać, a sam p. Harriman daje 4,000.000, aby go utrącić. Bo Roosevelt jest przeciwnikiem trustów, a p. Harriman wyrósł na tem łajdactwie na miliardera. Walka będzie zacięta — trudno przewidzieć, jakie „zasady“ zwyciężą, to jest właściwie, które zasady niezawisłym wyborcom lepiej zapłacą. Bo powszechne wybory (wszak to nieraz słyszeliście), to prawdziwa opinia społeczeństwa. Ta prawdziwa opinia będzie kosztować w Stanach Zjednoczonych aż 15,000.000 (co na nasze skromne koronki wynosi 80,000.000) — ileżby kosztowała fałszywa opinia? Pan Kruszewan, ów słynny pogromca żydowski, jest także za „prawdziwą opinią“, tj. powszechnem głosowaniem. Tylko w Rosyi prawdziwą opinię wyrabiałyby nie ruble, lecz inne, dotkliwsze argumenta.

Opinia, rzecz wogóle ładna. Każdy wie przecie, że miło i pożytecznie jest mieć „dobrą opinię“. Ale dobre opinie są rozmaite. Na przykład, hr. Karol Lanckoroński cieszy się najlepszą opinią mecenasa sztuki. Oto obecnie został honorowym obywatelem miasta Akwilei, a to za wydanie monumentalnego dzieła o bazylice akwilejskiej. Ładnie to z jego strony, że ukochał ten zabytek sztuki. Szkoda tylko, że żaden hrabia, książę, baron, markiz, lord, grand lub inny magnat niemiecki, włoski, francuski, angielski czy hiszpański, nie zechciał się nam, wydając np. monumentalne dzieło o Wawelu. Bo ci panowie, jeśli który z nich jest mecenasem, toną w brudnym nacyonaliźmie i popierają tylko to, co „swoje“. O ileż my jesteśmy wyżsi! Co prawda, nasze potrzeby są już całkiem zaspokojone, więc musimy wyręczać innych biedaków, co na wydawnictwa monumentalne zdobyć się nie mogą.

Na zakończenie wesoła nowina: mięso potaniało o 10 hal. na kilogramie. Naturalnie, że nie u nas, tylko w Wiedniu.

Następca Petkowa.

Wprawdzie ze śmiercią prezydenta ministrów Petkowa nic się nie zmieniło w Bułgaryi — bo rządząca dotąd partya narodowo-liberalna (stambułowców) nadal pozostała u steru — jednakże ks. Ferdynand był w niemałym kłopocie, zanim znalazł następcę dla zamordowanego premiera. Wybór jego padł na dra Piotra Gudewa i zdaje się, że nie mógł być trafniejszym.



Następca Petkowa: Nowy prezydent gabinetu bułgarskiego, dr. Piotr Gudew.

Dr. Gudew pochodzi ze Wschodniej Rumelii gdzie przyszedł na świat w 1863 r., jako syn ubogich wieśniaków. Od wczesnej młodości zmuszony był zarabiać na swoje utrzymanie: naprzód terminował u krawca, później był służącym w rozmaitych sklepach. Dopiero, gdy w mieście Sliwnie otwarto gimnazyum, udało mu się przy nadzwyczajnej pracowitości je ukończyć. Nie posiadając jednak funduszów na studya uniwersyteckie, został nauczycielem szkoły okręgowej w Haskowie.

Na tem stanowisku zastała go rewolucya z 1885 roku i wojna serbsko-bułgarska, w której wziął udział, jako członek płowdiwskiej legii studenckiej. W dwa lata później udało mu się wyjechać za granicę, gdzie studyował prawo na uniwersytetach w Paryżu i Brukselli i gdzie też otrzymał stopień doktorski.

Już w roku 1892 otrzymał urząd szefa sekcyi w ministerstwie oświaty; ustąpił zaś z tego stanowiska po dwóch latach, gdy upadł Stambułow, którego był gorącym zwolennikiem.

Pomimo bardzo jasno określonych przekonań



Cygan i hrabianka: Wilhelmina hr. Festetics z przyszłym mężem swym, cyganem Nyarim Roudim.

politycznych, odznaczał się zawsze Gudew pojednawczością, czy to jako członek Sobrania, czy też jako jego wiceprezydent a następnie prezydent. Skutkiem tego lubiany jest i szanowany nawet przez swych przeciwników politycznych.

Bułgarya, nurtowana przez prądy rewolucyjne i antydynastyczne, ma wszelkie prawo spodziewać się po nowym prezydencie ministrów, który za-



Dramat na Powiślu w Warszawie: Ofiara strzałów, ś. p. Klementyna Mierzejewska, żona urzędnika kolei Nadwiśl.

trzymał dla siebie tekę spraw wewnętrznych, uspokojenia i przywrócenia ładu. Także w kwestyi macedońskiej dr. Gudew będzie miał ważne zadanie usunięcia niebezpieczeństwa, ciągle grożącego pokojowi na Bałkanie, a nawet całej wschodniej Europie. Obejmując spadek po Petkowie, dał dr. Gudew dowód cywilnej odwagi, bo sam został ranny w czasie zamachu, którego padł ofiarą jego przyjaciel i zwierzchnik.

Cygan i hrabianka.

Rody arystokratyczne w Austro-Węgrzech są oburzone nowym mezaliansem: hrabianka Wilhelmina Festetics uparła się i wszystkim na złość wychodzi za mąż za cygana, nazwiskiem Nyari Roudi. Jest to córka znanego magnata węgierskiego, hr. Pawła Festeticsa z Budapesztu.

Ponieważ jej ojciec rozwiedziony z matką Wilhelminy, ożenił się powtórnie, panienka mieszkała przy ciotce swej w Monachium, gdzie była narzeczoną hr. Zygmunta Sprettiego. Wraz z nim, a w towarzystwie ciotki bywała hrabianka często w jednej z modnych kawiarń monachijskich, gdzie odbywały się koncerty orkiestry cygańskiej. Tu rychło wpadł w oko pannie Wilhelminie pierwszy skrzypek, dobry koncertmistrz, Nyari Roudi. I po pewnym czasie wyznała szczerze narzeczonemu, że go nie poślubi, ponieważ zakochała się w urodziwym cyganie. Wszelkie perswazye i usiłowania narzeczonego i rodziny hrabianki, by zapobiedz temu, nie zdały się na nic. Panna pojechała do Sopron z ukochanym.

Rodzina jest bezsilną, gdyż hrabianka jako już pełnoletnia, ma prawo rozporządzać swoją wolą. Ma to być osoba bardzo wykształcona, o usposobieniu artystycznem, włada pięcioma językami i jest wielce muzykalną.

Na razie jednak nie jest wcale bogatą, dopiero bowiem po śmierci ojca odbierze... pół miliona. Co do cygana, ten jest muzykiem bardzo zdolnym, ukończył konserwatoryum budapeszteńskie, posiada ogładę towarzyską i w całej tej aferze postępuje podobno bezinteresownie. Kiedy mu adwokat rodziny Festetics proponował grubą sumę pieniężną, byle tylko opuścił hrabiankę, nie przyjął nic, twierdząc, że zarabia dość, aby módz utrzymać swą żonę.



Dramat na Powiślu w Warszawie: Zamknięta po strzałach kawiarenka przy ul. Mostowej.

Dramat na Powiślu.

Niezwykły wypadek zdarzył się w trzeciorzędnej kawiarence w staroświeckim domu l. 29 przy ul. Mostowej w Warszawie. Jak zwykle wieczorem, siedziało tam kilka osób z uboższej ludności Powiśla przy herbacie, gdy około dziewiątej wpadło do kawiarni dwóch młodych ludzi z rewolwerami w rękach i krzyknęło od progu: „Ruki w wierch“ Na taki okrzyk, zwiastujący napad bandytów, zerwali się od stolika dwaj mężczyźni i dobywszy rewolwerów, zasypali napastników strzałami. Obaj ranni upadli na podłogę. Ale jednocześnie kula zabiła na miejscu 30-letnią Klementynę Mierzejewską



Fot. A. Drankow, Petersburg.

Sokół polski w Petersburgu: Grupa Sokolic polskich w stolicy Rosyi.



Polityka polska nad Newą: Dom przy ul. Spaskiej l 15, w Petersburgu, gdzie mieści się wspólny klub obu Kół polskich w Dumie. (Fot. A. Drankow, Petersburg.)

z ul. Gołębiej, która do kawiarenki przybywszy po mleko, stała przy kontuarze z czteroletnią córeczką. Na odgłos strzałów wkroczyła policya. W jej ręce oddali się sprawcy strzałów. I okazało się, że byli to dwaj agenci wydziału śledczego, którzy mając informacye, że w owym lokalu zbierają się rzezimieszkowie, przybyli tam wyśledzić wskazanych im przez władzę złoczyńców. Gdy wpadli do kawiarni dwaj obcy uzbrojeni—agenci, pewni, że mają do czynienia z bandytami, zaczęli strzelać. Tymczasem w obu rannych poznała policya nie bandytów, lecz również agentów wydziału śledczego 18-letniego Sarapa i 20-letniego Grigoriewa, którzy do szpitala przewiezieni, zmarli wkrótce z licznych ran. Przypadkowej ofiary strzałów, Klementyny Mierzejewskiej nie dało się już przywrócić do życia. (Dajemy jej fotografię). Zajście to tragiczne na tle dziwnej pomyłki, wywołało popłoch w całej dzielnicy. Po przeprowadzeniu śledztwa na miejscu, kawiarnię zamknięto i postawiono u drzwi wartę wojskową, którą widać na załączonej fotografii.

Sokół polski w Petersburgu.

Nie tak dawno jeszcze idea sokola zarówno w Królestwie Polskiem, jak na Litwie i Rusi była tak dalece prześladowaną, iż nietylko nikomu się nie śniło myśleć o zakładaniu gniazd Sokoła, na wzór galicyjskich, w miastach polskich pod rządem rosyjskim, ale nawet członkom klubów sportowych w Warszawie i na prowincyi, w których uprawiano gimnastykę, niebezpiecznie było przyznawać się głośno do sympatyj względem bratnich stowarzyszeń druhów zakordonowych.

W ostatnim czasie stosunki w zaborze rosyjskim zmieniły się o tyle, że można było legalnie zawiązać towarzystwa Sokołów w Warszawie i innych miastach Królestwa, a jednocześnie powstały gniazda podobne w krajach zabranych w każdem większem mieście, poczem w ślad za tamtemi utworzono polskie związki sokole we wszystkich miastach Rosyi, gdzie tylko dość liczną na to jest kolonia naszych rodaków.

Nie pozostała w tyle stolica nadnewska za Kijowem, Odessą itd. A wiadomo, że kolonia polska w Petersburgu liczy kilkadziesiąt tysięcy osób, spotykających się w święta łacińskie w kościele metropolitalnym św. Katarzyny.

Sokół polski nad Newą, jakkolwiek należy do gniazd najmłodszych, rozwija się doskonale i liczy już mnóstwo druhów ćwiczących, umundurowanych. Należą do niego i kobiety, a właśnie załączona fotografia wyobraża grupę polskich Sokolic w stolicy rosyjskiej. Jest to zdjęcie w czasie próby chóru sokolego. Strój sokolic, jak widać, jest tu inny, niż w naszych gniazdach. Druhowie zaś mają mundury podobne do naszych.



Polityka polska nad Newą: Posłowie: Parczewski, Stecki, Dmowski i Nowodworski. (Fot. Drankow, Petersburg.)



Polityka polska nad Newą: Od lewej ku prawej siedzą: posłowie Bryndza-Nacki, Dziurzyński, Rodziewicz, Wesołowski, Sunderland, Parczewski; stoją: Nowodworski, Głowacki, Wańkowicz, Suchorzewski, Otocki. (Fot. A. Drankow w Petersburgu)

Polityka polska nad Newą.

„Dzień polski" w Dumie rosyjskiej zwrócił powszechną uwagę na naszą reprezentacyę polityczną w parlamencie petersburskim. Fejletonista „N. Illustr." mówi obszernie o tym sukcesie polskim nad Newą w dzisiejszej „Kronice tygodniowej". My zaś podajemy tu nową seryę illustracyj z życia polityków polskich w stolicy Rosyi.

Zamieszczamy tedy podobiznę domu przy ulicy Spaskiej, gdzie właśnie co dopiero otwarto wspólny lokal dwóch Kół polskich w Dumie: Koła posłów z Królestwa Polskiego oraz Koła posłów polskich z Litwy i ziem ruskich.

Jedna z dalszych fotografij wyobraża zarządzającego kancelaryą Koła polskiego, posła Krzakowskiego w jego gabinecie.

Na innych dwu rycinach widzimy grupy polskich posłów w czasie prywatnych narad nad taktyką parlamentarną naszej reprezentacyi. Są to najwybitniejsi przywódcy Koła polskiego, a między nimi posłowie Dmowski i Stecki, których mowy w pełnej Izbie zyskały w kraju ogólny poklask a także dobre wrażenie wywarły i w samej Dumie.

Małoletni bandyci.

Już nie po raz pierwszy odkrywa policya warszawska bandę złodziejską, która dawała się dobrze we znaki publiczności, a której członkami byli sami małoletni chłopcy, nieraz wyrostki po lat 12 14. Oto np. w ubiegły piątek aresztowano na Nowym Świecie 16-letniego Józefa Wałkuwskiego,

przy którym znaleziono rewolwer i sztylet. Śledztwo wykazało, iż Wałkuski (zwany Szewcem) zorganizował wraz z kolegą swym i rówieśnikiem Franciszkiem Ryniewiczem („Garbatym“) bandę uzbrojoną dla dokonywania kradzieży. Należeli do niej: 13-letni Franc. Tkacz („Chior“), 15 letni Stan. Tomaszewski („Ślepy“), 16-letni Eug. Kozłow („Danuś“), 16 letni Jan Ścielak („Gambeta“), 16 letni Henryk Milewski („Delikatny“), 14-letni Wacław Romanowski („Doktor“). Po skompletowaniu się,



Fot. A. Drankow, Petersburg.

Polityka polska nad Newą: Zarządzający kancelaryą Koła Polskiego w Dumie p. Krzakowski.

zaopatrzeni w rewolwery i sztylety, członkowie szajki udali się 13 z. m. po dwóch na Krakowskie Przedmieście, na Świętokrzyską, Marszałkowską, Jerozolimską i na Nowy Świat. Tu w domu pod l. 21 kilku stanęło w bramie na straży, „Szewc“ ze sztyletem na schodach, inni przy drzwiach na 2-giem piętrze, a „Garbaty“ z rewolwerem w ręku, udał się do mieszkania p. Henryka Dobrzyńskiego. Po chwili wyszedł z kołnierzem futrzanym, mufką i parasolem. Z łupem tym udali się młodociani bandyci na Pociejów, gdzie wszystko zaraz sprzedali. W czasie, gdy układali nowe plany zbrojnych napadów złodziejskich, aresztowano „Szewca“ na Nowym Świecie, co ułatwiło wyłapanie całej szajki agentom wydziału śledczego, gdzie ugrupowanych z bronią w ręku fotografowano. Załączamy właśnie tę grupę małoletnich bandytów.



Samobójstwo komisarza policyi lwowskiej: Ś. p. Maksymilian Hołowiecki.

Samobójstwo komisarza policyi lwowskiej.

Przed kilku dniami nadeszła wiadomość do Lwowa ze Stryja, iż komisarz lwowskiej policyi, Maksymilian Hołowiecki, od dłuższego czasu chory na rozstrój nerwowy i przebywający na urlopie, odebrał sobie tam życie, rzuciwszy się w nurty Stryja. Zwłoki desperata wydobyto dopiero po dwu dniach z wody.

Ś. p. Maksymilian Hołowiecki, człowiek jeszcze młody, bo zaledwie 37 lat liczący, był ofiarą fatalnych stosunków służbowych, jakie od kilku lat w lwowskiej dyrekcyi policyi panują. Mała ilość sił konceptowych, nadmiar pracy i to pracy ciężkiej, niesłychanie wytężającej i wyczerpującej, przeciążenie inspekcyami oraz służbą pozabiurową na rozmaitych widowiskach, wszystko to czyni służbę urzędników policyi lwowskiej niezmiernie ciężką i niewdzięczną. Nic dziwnego też, że prawie każdy z nich już po kilku latach pracy w takich warunkach podlega silnemu zdenerwowaniu i przedwczesnemu steraniu sił umysłowych.

Ś. p. Hołowiecki należał do bardzo gorliwych i pracowitych urzędników dyrekcyi policyi we Lwowie, cechowała go nadto uprzejmość i uczynność wobec stron i kolegów. Pracował ostatnio w departamencie bezpieczeństwa publicznego, tam, gdzie koncentrują się wszystkie najważniejsze sprawy. Wytężająca praca urzędowa, a nadto pewne stosunki prywatne, wywołały u niego rozstrój nerwowy, który w ostatnich czasach spotęgował się bardzo znacznie. Od kilku miesięcy nie pełnił służby i bawił w Stryju, gdzie też odebrał sobie życie.

Prezydent republiki na drugiej półkuli.

Największa z południowo-amerykańskich republik, Brazylia, obchodzi nas o tyle więcej, niż inne krainy, położone na drugiej półkuli, ile, że prawie ćwierć miliona polskich wychodźców przeniosło się tam, szukając za Oceanem chleba i lepszej przyszłości. Sądzimy tedy, że podobizna i krótki rys biograficzny najwyższego dostojnika, tj. prezydenta Zjednoczonych Stanów Brazylijskich, dra Affonsa Penny, nie będą bez interesu dla naszych Czytelników, z których niejeden może posiada w tych odległych stronach krewnych, przyjaciół lub znajomych.

Dr. Penna, szósty z kolei prezydent republiki, proklamowanej, jak wiadomo, w 1889 roku, po złożeniu z tronu cesarza Dom Pedra II go, jest z zawodu prawnikiem. Jeszcze za czasów cesarstwa był naprzód deputowanym prowincyonalnym, a następnie posłem do parlamentu państwowego w Rio de Janeiro. Cesarz Dom Pedro trzy razy powoływał go za swych rządów do gabinetu.

Po ogłoszeniu republiki, został Penna wybrany członkiem komisyi, która opracowała nową konstytucyę, wkrótce zaś stan rodzinny, Minas, wybrał go swym prezydentem. Oceniając jego zdolności i wielką prawość charakteru, powołał go następnie rząd centralny na posadę prezydenta Banku narodowego, poczem znów wybrano go na senatora stanu Minas.

Na wszystkich tych stanowiskach odznaczył się on w sposób tak wybitny, że współobywatele ofiarowali mu w roku 1892 wiceprezydenturę a w 1896 prezydenturę republiki. Program jego rządów obejmuje w streszczeniu: reformę waluty krajowej, przywrócenie równowagi w budżecie związkowym, rozszerzenie sieci kolejowej, oraz rozsądne a uczciwe popieranie immigracyi z Europy.

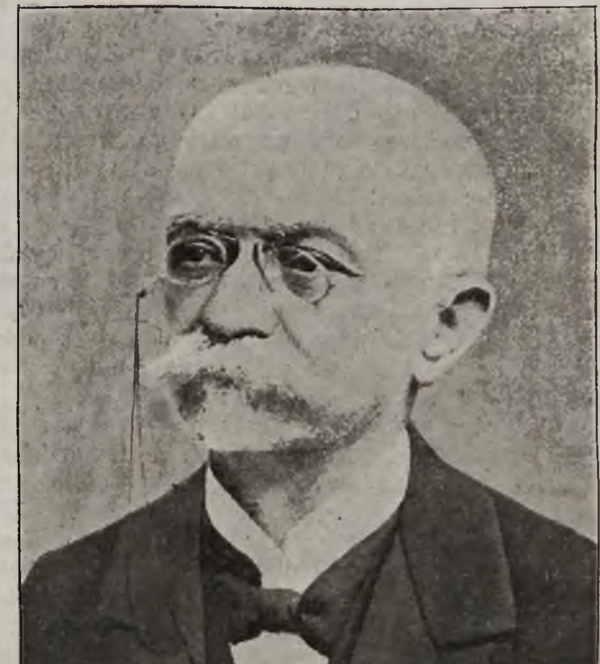
Wysokie poczucie sprawiedliwości, jakiem kieruje się dr. Penna zarówno wobec krajowców, jako też obcych przybyszów, którzy szukają w Brazylii nowej ojczyzny, sprawia, że cieszy się on wielką sympatyą całej ludności swego kraju. Pod jego rządami — można spodziewać się — że i dla naszych wychodźców, którzy nieraz dużo ucierpieć musieli skutkiem nieuregulowanych stosunków brazylijskich, zaświtają lepsze czasy.



Małoletni bandyci: Ujęta przez ajentów wydziału śledczego w Warszawie i przed sąd stawiona, szajka młodocianych bandytów.

Jubileusz Gustawa Fiszera.

Teatr lwowski obchodził w tych dniach uroczystość niezwykłą. Przedstawienie Fredrowskich „Ślubów“ było wieczorem poświęconym jednemu z największych ulubieńców publiczności, Gustawowi Fiszerowi, z okazyi jego jubileuszu czterdziestoletniej pracy scenicznej. Niełatwe to zadanie, spędzić tyle lat na scenie i służyć sztuce wytrwale



Prezydent republiki na drugiej półkuli: Dr. Affonso Penna, nowy prezydent Brazylii.

i wiernie, często z zaparciem się siebie i zawsze z całą energią wielkiego talentu. Zadaniu temu sympatyczny jubilat podołał w zupełności. Wyszedł zwycięsko z owych lat trudów i walki, z owej kipiącej atmosfery kulis, która spala duszę na po-



Jubileusz Gustawa Fiszera: Znakomity artysta sceny lwowskiej i słynny monologista, Gustaw Fiszer.

piół i nerwy targa na strzępy. Dziś patrząc na jego czerstwą postać, pełną humoru i werwy na scenie i poza sceną, możnaby przypuszczać, że Gustaw Fiszer nie zestarzeje się chyba nigdy, że dobra jakaś wróżka obdarzyła go eliksirem wiecznej młodości i niewyczerpujących się skarbów talentu, któremu zawdzięcza jubilat swą popularność i powodzenie swoje.

Znakomity artysta liczy dziś lat sześćdziesiąt, urodził się bowiem w 1847 w Rzeszowie. Jako 16 letni chłopak, zaraz na pierwszą wieść o powstaniu, stanął w szeregach walczących o wolność. Zamieszczamy dziś właśnie reprodukcyę starej fotografii, która przedstawia go w tych czasach jako powstańca. Po upadku powstania przebywał czas jakiś na Węgrzech, aż po kilku latach powróciwszy do Rzeszowa, wstąpił do trupy Józefa Bendy, w której pierwsze kroki, jak wiadomo, stawiała siostra dyrektora — Modrzejewska. Odtąd rozpoczął już na stałe wędrówkę aktorską, pełną przygód i wrażeń — i nie porzucił jej ani na chwilę.

W r. 1868 dostał się Fiszer na scenę krakowską, gdzie nabrał tem większego zamiłowania do obranego zawodu, ile że pracował tu pod kierunkiem takich znawców teatru, jak Adam Skorupka, a następnie Stanisław Koźmian.

Po pięciu latach przeniósł się do Lwowa (we wrześniu 1872) i odtąd jego nazwisko złączyło się już na stałe z historyą sceny lwowskiej. Po raz pierwszy w teatrze Skarbkowskim wystąpił Fiszer jako „Skąpiec“ Molierowski i odrazu zdobył sobie uznanie publiczności i krytyki, które mu towarzyszyło przez wszystkie lata, mimo, że musiał często rywalizować w swych kreacyach za wspomnieniem Rychtera i Rapackiego. Pracował on przeważnie w dziale ról charakterystyczno-komicznych, lecz wszechstronny jego talent pozwalał mu na repertuar bardzo obszerny i różnorodny.

Kilkakrotnie za dyrekcyi Adama Miłaszewskiego, to znów za Jana Dobrzańskiego, opuszczał Fiszer scenę lwowską, puszczając się na samodzielną włóczęgę artystyczną, jako monologista, o sławnem dzisiaj w całej Polsce nazwisku. Któż nie zna monologów Gustawa Fiszera? Podziwiali je wszyscy, starzy czy młodzi, oklaskując każdy występ naszego artysty, który posiadał nieoceniony dar zjedrwania sobie popularności i serc wdzięcznych i rozbawionych słuchaczy. Na stałe zaangażował się znowu w 1890 za dyrekcyi Schmitta na sce-



Jubileusz Gustawa Fiszera: Podobizna jubilata z r. 1863, jako powstańca.

nę lwowską i z małą przerwą za Pawlikowskiego, pozostał jej wiernym do dnia dzisiejszego.

* * *

Uroczystość jego 40-letniego jubileuszu była w istocie chwilą piękną w życiu zasłużonego artysty-obywatela. Publiczność i jubilata ogarniało wzruszenie serdeczne na widok manifestacyi ogółu artystów i artystek darzących najlepszego kolegę kwiatami i wieńcami po gorących przemówieniach dyrektora Hellera i reżysera Walewskiego. Wraz z tymi mówcami i my z naszej strony, imieniem Czytelników a wielbicieli popularnego „Gucia“, wołamy: „Żyj nam jeszcze długo.

Z lwowskiego bruku.

(Słówko o ruchu przedwyborczym. — Co to jest polityka? — Poważni ludzie w dyskusyi z pauprami. — Czemu Lwów się nie smuci, a czemu się cieszy. — Ratusz lwowski i jego wytrzymałość — Mała defraudacya. — Jubileusz Fiszera. —)

U nas kipi ruch przedwyborczy. Ludzie zwołują codziennie zgromadzenia, plują na siebie, agitują, wygłaszają mowy, pocą się, śpiewają, wyrzucają się ze sal, gryzą cukierki, irytują się, deptają sobie po nagniotkach, puszczają „zwischenrufy“, wystawiają sobie języki, biją brawa, szturkają się w boki, wołają „hańba“, tupią nogami, wycierają nosy, komenderują, mówią sobie prawdę, obrażają się na honorze — jednem słowem robią politykę. Ale to wszystko razem nie może nas cieszyć, bo dr. Leser nie kandyduje. Z początku chciał, nawet może i teraz chce, ale partya powiedziała mu, aby dał spokój. Gdy wreszcie widział, że wyborcy nie wzywają go wcale, aby wygłosił mowę kandydacką, cofnął apetyt i powiedział sobie: potem!

A więc nie kandyduje.

Mimo to nie tracimy nadziei i pracujemy dalej. Kandydują inni, a choć „to już nie to, co to“, to jednak może jeszcze znajdzie się ktoś, co losy nasze zechce wziąć w swe ręce obok dyet poselskich i będzie kierował w Wiedniu naszem szczęściem.

Twierdzą wprawdzie pessymiści, że to, co się dzieje obecnie na zgromadzeniach we Lwowie, jest niesłychanym skandalem, że na zgromadzenia przychodzą paupry i chuligani, że niema mowy o poważnej parlamentarnej dyskusyi, że jedni starają się gwałtem przekrzyczeć drugich, że to wszystko razem jest jednem wielkiem świństwem w bagnie zrodzonem i cuchnącem bagnem, ale tak twierdzą tylko ci, którzy nie znają się na polityce, którzy nie są społecznikami.

Właśnie na tem polega galicyjska a specyficznie lwowska polityka, prowadząca nas prosto do raju pomimo, że dr. Leser nie kandyduje, a gdyby jeszcze i on zechciał postawić swoją kandydaturę, nasze szczęście byłoby zupełne.

Widzimy przecież najzdolniejszych i najpoważniejszych ludzi, stających do dyskusyi politycznej z pauprami, którzy za lat 10 będą wyborcami. Widzimy, że nie odstrasza ich ani trąbka, ani plucie, ani hałas piekielny, ani jakobinizm, ani łyczakowskie zwyczaje, ani laski, ani kamienie, tylko owszem wśród „gradu“ śliny i „muzyki“ wyzwisk przemawiają do bandy przyszłych polityków, przyszłych wyborców, przyszłych posłów i starają się ich przekonać. Przekonać...

Zapowiadają się wogóle przyjemne wybory, pomimo, że dr. Leser nie kandyduje. Chyba, że się jeszcze rozmyśli...

Wogóle po mieszkańcach Lwowa nie poznać wielkiego żalu z tego powodu, a już więcej zauważyć się daje radość z innych powodów, mianowicie z zamierzonego wystawienia jägermanówki w parku stryjskim i restauracyi, to jest podparcia lwowskiego ratusza, który od dawna nosił się z zamiarem „samobójstwa“.

Jeśli ratusz lwowski dotychczas się nie zapadł, to przypisać to należy tej okoliczności, że jest w nim jeszcze kilku sprawiedliwych, dzięki którym ocaleją inni radni. Inaczej bowiem trudno zrozumieć, jakim cudem ostał się tylu wiatrom i tylu potyczkom policyi konnej z politykami w rynku. Jedno głośne przekleństwo przekupki lwowskiej, jedno głośne kichnięcie obywatela z katarem, jedno potknięcie się grubszego radnego lub samego prezydenta, wystarczy — zdaniem architektów — aby ratusz lwowski położył się trupem na miejscu..

Ale teraz już uchwalono rekonstrukcyę i powszechna nastała wesołość nawet między przekupkami, które siadając codziennie na rynku, żegnały się i prosiły Boga, aby im nie kazał zginąć pod gruzami lwowskiego ratusza.

Poza tem mieliśmy w tym tygodniu maleńką defraudacyę, która jednak wobec wszystkich poprzednich nie zasługuje nawet na wzmiankę, co uznał sam jej sprawca, nie uciekając wcale za morze, ani nie udając waryata.

Stosownie do uświęconego, tradycyjnego zwyczaju zachorował na rozstrój nerwowy i popełnił samobójstwo jeszcze jeden komisarz policyi, a lwowskie namiestnictwo na wiadomość o tem postanowiło podobno zająć wyczekujące stanowisko na lat 10, w ciągu których można się będzie przekonać, czy należy powiększyć personal urzędniczy policyi, czy nie. Gdyby się w tym czasie powywieszali wszyscy obecni urzędnicy, zostanie personal stanowczo powiększony.

Najjaśniejszym dniem tygodnia, — ale to już seryo mówię — był poniedziałek, w którym to dniu obchodził swój czterdziestoletni jubileusz jeden z największych artystów polskich, Gustaw Fiszer.

Jubileusz wypadł wspaniale — bo nie mogło być inaczej. Teatr był wysprzedany, publiczność rozentuzyazmowana zarzuciła jubilata kwiatami, i wieńcami, ludzie mieli łzy w oczach.... A jednak...

Lwów nie jest teatralnem miastem... Gdy we Wiedniu obchodził 40-letni jubileusz Aleksander Girardi, komik... operetkowy, co prawda najlepszy czy najgłośniejszy we Wiedniu, paliła się cała stolica i obchodziła święto powszechne. Czy nasza uroczystość była także powszechna? Hm... Czytelnia akademicka urządziła w tym samym dniu koncert Michałowskiego w Filharmonii na swój dochód.. Zapewne dla uczczenia Fiszera, najlepszego, najdroższego artysty... W teatrze widziano nową publiczność, bywalcy zostali w domu, aby się nie pocić w ścisku.. Lwów nie jest teatralnem miastem, jest nawet obrzydliwie apatycznem, chłodnem, rozgrzewającem się tylko na słońcu w lipcu.. I wtedy wyjeżdża do wód, aby mu gorąco nie zaszkodziło

Ale prawdziwi przyjaciele artysty i miłośnicy sztuki mieli prawdziwą ucztę, patrząc na te hołdy, składane wielkiemu artyście i podziwiając jego grę świetną, niezrównaną, która nie straciła nic ze swej siły pierwotnej i wielkiej wartości. Gucio Fiszer jeszcze długie lata bawić będzie i rozgrzewać zimną publikę do serdecznego podziwu i zachwytu. Ten kochany, poczciwy, nieśmiertelny i niestarzejący się Gucio, który niema sobie równego za granicą.

Kl

LUDWIK STASIAK

Kolega broni.

Z czwartego tomu »Humoresek«.

Siedziałem w kawiarni, aby doczekać się wieczornego wydania dziennika i dowiedzieć się o przebiegu posiedzenia w parlamencie. Podano mi herbatę i bułkę ze szynką. Jedzenie drogie ale dobre. Ja się dziwię, że astronomowie nasi nie wpadli na myśl, aby celem zobaczenia gwiazd nieprzystępnych dla oka i szkieł, wkładać w lunety płatki szynki, jakie za piękne pieniądze wydają krakowskie kawiarnie. Byłbym długo rozmyślał nad nieudolnością naszych astronomów, gdyby nie to, że nadszedł wieczorny dziennik. Doczekałem go się wreszcie i z płomienną ciekawością zacząłem czytać tak telegraficzne sprawozdania jak i telefonematy. Byłem właśnie w miejscu najbardziej zajmującem: poseł z opozycyi woła do mowcy prawicy: „notoryczny kretynie!“ — już się lewica zrywa, aby roznieść ministeryalną ławę, gdy czytanie przerwał mi jakiś przyzwoicie ubrany człowiek. Zwraca się i pyta:

— Czyś to ty, czy nie ty?

— Ja, napewne ja.

Jestem przekonany, że dobrze określiłem treść swej istoty, nazywając siebie wyrazem: ja. Bo po dziś dzień jestem jeszcze indywidualnością i mam pełne prawo mówić o sobie: ja. Stracę to prawo, gdy proletaryusze wszystkich narodów połączą się i zapanuje na świecie kollektywa. Krew we mnie ze strachu tężeje. Będę wisieć. Będę wisieć, bo mam cały surdut, jadłem przedwczoraj obiad i leje mi się tylko do jednego buta. Wezmą mnie za burżuja i powieszą. A jeżeli wylegitymuję się długami i dziurawym butem, to przestanę być indywidualnością i zostanę numerem. Z rana otrzymam kartkę: Towarzyszowi Nr. 245 wydać dwie kwarty żuru, nogę pulardy, dwa korniszony, trzy funty chleba, czterdzieści papierosów, ośm litrów wódki, (protekcya dla dekadenckiego literata!) ćwierć loży w teatrze i pół towarzyszki (druga połowa przypada numerowi 246). Tak będzie w przyszłości. Dziś skorzystałem z panowania względnego indywidualizmu na świecie i rzekłem do obywatela, który siadł przy mym stole:

— Ja jestem.

— Poznajesz mnie? Nazywam się Müller.

Naturalnie, że go poznałem. Bo i ty czytelniku w ten sposób zagadnięty, byłbyś go sobie przypomniał. Nie masz takiego człowieka na kuli ziemskiej, któryby nie miał najmniej pięciuset znajomych Müllerów, a jeśli kto przeczy temu, to tylko dla udawania oryginalności i chęci wyróżnienia się od szarego tłumu. Ja się od nikogo wyróżniać nie chcę i Müllera sobie przypomniałem. Nawet jego powierzchowność. Był podobnym, no — do kogo był podobnym? Już wiem. Do Szekspira. Fizyognomia Szekspira jest najliberalniejszą ze wszystkich na świecie, bo portrety jego wszystkie są wątpliwe i podrobione, prawdziwy i autentyczny nie istnieje wcale, zatem każdy człowiek na kuli ziemskiej, bez względu na to, czy to Meksykanin, czy Mongoł, może w gruncie rzeczy być podobnym do Szekspira.

— Cieszę się, że cię spotykam po dwudziestu pięciu latach.

— Radość i szczęście po mojej stronie.

— Jestem twoim kolegą broni.

Ten pan mówi przenośniami. Przenośnią jest, że on mnie nazywa kolegą broni. Zatem to literat. Rzekłem:

— A więc to wspomnienie służby naszej.

— Były to piękne dni młodości.

— W istocie, że dość ładne.

— Czy nie wiesz co się dzieje z innymi kolegami broni?

— Ta.... niby coś wiem....

— Czy zdrów jest Ignacy Mięta?

— Nie znam żadnego Ignacego Mięty.

— Ależ musisz go znać. Przecież on był naszym przełożonym razem z kapralem Ferdynandem Salcesonim....

— Z jakim kapralem Salcesonim? Co pan o jakimś kapralu mówisz? W szeregach literackich niema wcale kaprali. Żadnego Salcesoniego nie znam.

— Zapomniałeś w ciągu dwudziestu pięciu lat. Ale musisz koniecznie pamiętać Szwarca?

— Którego Szwarca?

— Jakto którego Szwarca?

— Bo ja mam dwudziestu znajomych Szwarców.

— Ten chudy....

— Ależ on jest tłusty. Pojechał do Maryenbadu.

— Poco?

— Żeby schudnąć.

— To my mówimy chyba o dwóch rozmaitych Szwarcach. Ten, o którym ja myślę, ma dziś lat sześćdziesiąt.

— Mój Szwarc ma zaledwie lat ośmnaście Ale to jest wszysko jedno.

— Jakto wszystko jedno?

— Pytasz się? Astronomowie dzisiejsi, którzy obliczają odległość słońca od ziemi, różnią się w obliczeniach o 190.000 kilometrów. Blisko dwakroć sto tysięcy kilometrów uczonym naszym we wszechświecie zginęło. Jedni utrzymują, że słońce jest o tyle dalej, drudzy, o tyle bliżej:

— To niby te kilkanaście lat naszego nieporozumienia....

— Jest głupią bagatelką, o której mówić nie warto.

— Jak się miewa Kohn?

— Który Kohn?

— Jakto który?

— Bo ja mam ośmdziesięciu znajomych Kohnów.

— Pytam się o naszego kolegę broni. Wszak znać go musiałeś. Miał talent do malarstwa.

— Ach tak. Znam. On mieszka tu naprzeciw. Ma interes.

— Był to człowiek bardzo wojennego usposobienia.

— Mimo to jest malarzem nie wojennym lecz pokojowym.

— Widziałem niedawno Fischera.

— Którego Fischera?

— Jakto którego?

— No bo ja mam ośmset czterdziestu Fischerów znajomych.

— Ja mówię o naszym koledze broni.

— A, o nim. Gdzież on jest? Co porabia?

— Zgadnij!

— Trudno będzie.

— Przecie zgadnij.

— No.... Jest ajentem francuskich win...

— Nie.

— Ma plantacye kalafiorów.

— Nie.

— Siedzi w kryminale na Wiśniczu.

— Nie zgadłeś. Jest pisarzem u adwokata w Kołomyi. Był to bardzo dobry i sympatyczny kolega! Wspominaliśmy sobie piękną przeszłość i młodzieńcze lata. Zeszliśmy się razem z nim i Mayerem...

— Z jakim Mayerem?

— Jakto z jakim?

— No bo ja mam dwa miliony pięćset tysięcy stu czternastu znajomych Mayerów.

— Ja mówię o naszym koledze broni. Nie pamiętasz go? Tworząc razem odnieśliśmy zwycięstwo.

Wytrzeszczyłem oczy na mego kolegę.

— Przyznam się, że ja żadnego zwycięstwa nigdy nie odniosłem.

— No, ja mówię o zwycięstwie na manewrach.

— Na żadnych manewrach nigdy nie byłem.

— Jakto? Co ty mówisz? Lat temu dwadzieścia pięć, dnia dwudziestego sierpnia.

— Przypominam sobie tę datę.

— W tym dniu awansowałem w Lublanie.

— A ja w tym samym dniu byłem pod tuszem w Kulparkowie.

— Jakto pod tuszem?

— No w domu dla chorych na nerwy....

— To niby u waryatów? A gdzieżeś pan służył wojskowo?

— Ja wojskowo wcale nie służyłem.

Mój interlokutor usta otworzył.

— To ja się pomyliłem okropnie....

— Mnie się też tak zdaje.

— Pan nie nazywasz się Fryderyk Bauer?

— Nie panie. Jestem Wincenty Ogórek.

— Ogórek?!!

— Tak jest. Nazywam się Ogórek, gdy zaś proletaryusze wszystkich krajów połączą się, nie będę Ogórkiem, lecz numerem 245. Dostanę dziennie ośm litrów wódki....

— Zatem pan, to nie pan....

— Ja, to nie ja — rzekłem chwytając nerwowo gazetę, w której były telegramy o ostatniem posiedzeniu parlamentu.

Zagadki do nagrody

Logogryf.

(Ułożyła Koliba, Zakopane).

Z następujących zgłosek: a, ak, an, bik, bo, ci, cze, dan, py, es, go, go, i, il, in, iz, ka, ka, kor, lem, len, lo, łach, ma, mag, mel, na, ne, niec, no, o, o, par, ró, si, ta, ti, try, tyzm, us, wa, wiec, za, ze, zo, ża — ułożyć 16 wyrazów, których litery początkowe, czytane z góry do dołu, a końcowe z dołu na górę, dadzą imiona i nazwiska dwóch sławnych generałów polskich.

Znaczenie wyrazów: 1 Przyprawa do potraw. 2. Przyrząd do dystylacyi. 3. Rodzaj nabożeństwa. 4. Starożytny lud w okolicach Pomorza. 5. Roślina. 6. Lekarstwo. 7. Inaczej bez ubrania. 8. Postać biblijna 9. Określenie tempa w muzyce. 10. Bóg grecki. 11. Twierdza w Mołdawii, zdobyta przez Suworowa. 12. Orszak zbrojny. 13. Koń. 14. Barwnik roślinny. 15. Naród słowiański. 16. Magnetyzm zwierzęcy.

Jako nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy tort migdałowy z cukierni A. Piaseckiego.

Rozwiązanie zagadek z Nru 13.

G, kły, Azory, Kordyan, ornat, lew, Mormoni, Faust, Klaczko, juhas, ale, mleko, Balbina, banan, Salamon, mamut, ryś, geśla szalony, Krasiński.

Głodnemu chleb na myśli.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: Trylowski Żabie, K Fuchs Czeremchów, Towarzystwo »Zgoda« Krosno, S. Nowak Szczakowa, M. Świtlikowa Rzeszów, M. Nowakówna Rabka, K. Weinar Przemyśl, M. Gójska Bolechów, H. Zielińska Manajów, B. Ramułtowa Jeżów, H. Leligdowicz Fraga, S. Gajdeczka Sieniawa. K. Ludwig Borysław, M. Arbesbauer Lwów, E. Kuske Żbików, J. Ramuszyńska Wolanka, G. J. M. J. Hiersag Truskowiec, H. Zwilling Tarnów, F. Niepokój Krosno, J. Rotter Chlebowice. M. Opolska Czarny Dunajec, T. Domain Kołomyja, Łopaciński Lwów, A. Grabowska Klecza Górna, M. Różański Libusza, E. Bogusz Lubasz, F. Kalifa Gawłuszowice, J. Bazylewicz Jaktorów, S. Spunda Skała, L. Wygrzywalski Kraków, S. Wosocka Nowy Sącz, I. Suchorzewska Uherce, B. Fuk Stanisławów, J Badura Rożdzień. A. Batko Lwów, W. Neuman Potok Zloty, K. Sokołowski Stanisławów, B. Pisarski Lwów, H. Kowalski Mogiła; A. Kczmarczyk Tarnopol.

Nagrodę za dobre rozwiązanie zagadek otrzymał przez losowanie p. A. Kaczmarczyk Tarnopol. Prosimy o nadesłanie 35 hal. na koszta przesyłki.

Od Redakcyi.

Korespodencya Redakcyi:. Zwracamy uwagę, nie po raz pierwszy, Szan. Czytelniczek i Czytelników **ze tylko zupełnie trafne rozwiązania będą uwzględniane przy losowaniu nagród.**

Zamało tedy jest podać samo znacznenie zagadki, arytmogryf itd. w całości, lecz należy je uzasadnić wyliczeniem pojedynczych wyrazów, które nie mogą być dowolnie wybrane. Przy rozwiązaniu np. zagadki z Nr. 13. wiele osób powstawiało zupełnie fałszywe wyrazy. Tym razem patrzyliśmy na to przez palce, na przyszłość jednak sądzimy, że Szan. Czytelniczki i Czytelnicy zechcą zastosować się do naszej prośby.

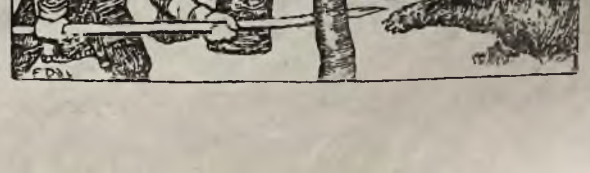
Panu D... W swej karcie pocztowej z d. 24 z. m. czyni Szan. Pan zarzuty układowi zagadek, twierdząc, że »autor musi nie znać polską gramatykę i składnię« — dajmy na to — ale, czy Szan. Panu nie jest wiadomem, iż przeczenie wymaga po sobie w języku polskim 2-go przypadku?..

Od Administracyi.

Przypominamy Szanownym P. T. Prenumeratorom naszym, że przy każdorazowej zmianie adresu należy nadesłać jednocześnie z nowym adresem 40 halerzy na koszta zmiany.

NADESŁANE.

(Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności).



Telefon 43. **KRAKÓW** Telefon 43.

Magazyn HENRYKA SCHWARZA Grodzka 13

wełny, jedwabie, okrycia, żakiety, kostyumy, bluzki, halki.

Prawnie chron. Każde naśladownictwo podlega karze!



Jedynie prawdziwy Balsam tylko z apteki »Pod Aniołem Stróżem« A. Thierryego w Pregrada (Rohitsch-Sauerbrunn)

Jedynie prawdziwym jest tylko

Balsam Thierrego

z zielonym znakiem ochronnym zakonnica. 12 małych flaszek lub 6 wielkich, lub jedna osobliwa wielka flaszka z patentowanym zamknięciem **K 5.**

Centyfoliowa maść Thierrego

przeciw wszelkim, nie wiedzieć jak zastarzałym ranom, zapaleniom, zranieniom i t. d. 2 słoiki **K 3·60.** Wysyłka tylko za zaliczką lub po otrzymaniu należytości.

Te dwa środki są wszędzie znane i słyną oddawna jako najlepsze!

Zamówienia adresować:

Aptekarz A. Thierry, Pregrada bei Rohitsch-Sauerbr.

Skład prawie w każdej aptece. Broszurka z tysiącami podziękowań opłatnie za darmo.

Pistolet odtylcowy

pierwszej jakości!

Nowości!



jako wisiorek do zegarka, ze srebrną rękojeścią, oddaje strzał nader silny, wraz 25 patronami (kaliber 2 mm.) **2 kor.** — 1 hilza 25 ślepemi patronami osobno 40 h.

Rozsyłka za zaliczką przez pierwszy fabryczny skład zegarów

HANNS KONRAD w Brüx 649 Czechy.

Bogato ilst. polski cennik. z przeszło 3000 ilustr. darmo i opłatnie.



3-letnia pisemna gwarancya!

Bez konkurencyi w tej jakości!

5 koron!

Wspaniały szwajcarski Anker-Remontoir zegarek, systemu Roskopf, o doskonałym, silnym werku, zabezpieczonym pancerzem, z pięknym emaliowanym cyferblatem (nie z papieru), w eleganckiej nikl. oprawie, opatrzony plombą ochronną idący 36 godzin (nie 12 godzin), posiadający ozdobne, złocone wskazówki, doskonale uregulowany z 3-letnią pisemną gwarancyą

za sztukę	K 5·—	za 3 sztuki K 14·—
taki sam z wskazówką sekundową	„ 6·—	„ „ „ „ 17·—
W eleganckiej srebrnej oprawie bez wskazówki sekundowej .	„ 10·—	„ „ „ „ 29·—
taki sam z wskazówką sekundową	„ 13·50	„ „ „ „ 38·—

Zamiana dozwolona, lub zwrot pieniędzy bez żadnego potrącenia

Wysyłka za zaliczką. — Pierwsza fabr. zegarków **Haans Konrad w Brüx** Nr. 896 (Czechy)

Bogato illustrowany polski katalog z przeszło 3000 wzorami wysyła się każdemu na żądanie darmo i opłatnie.



Proszę żądać darmo i opłatnie

mój bogato ilustrowany polski cennik zegarków, towarów złotych i srebrnych. (przeszło 1000 ilustracyi).

Hanns Konrad

PIERWSZA FABRYKA ZEGARKÓW w Brüx Nr. 1379 (Czechy).

Prawdziwy niklowy anker-remontoir wraz z łańcuszkiem K 4·—, 3 sztuki K 11·—. Żadne ryzyko. Wolna zamiana

3—52 lub zwrot pieniędzy.

KONIAK

Pierwsza południowo-węgierska fabryka koniaku założona w roku 1875 wysyła stary koniak w beczułkach pocztą opłacony do każdej stacyi pocztowej po K. 12·—, 14·20, 15·40 i 19·20, w butlach 3 wielkie flaszki po K. 9·60, 11 i 14.

WINA 18—16

stare, wytrawne 4 litry pocztą, a od 30 litrów koleją.

Bracia Lenganer, Werschetz.

Marka ochronna: „Kotwica"

Liniment. Capsici comp.,

zastępujące

Pain-Expelleru,

jest powszechnie znane jako wyśmienite, bóle uśmierzające nacieranie; do nabycia we wszystkich aptekach po cenie 80 hal., K 1.40 i 2 K. Przy kupnie tego powszechnie ulubionego środka domowego należy przyjmować tylko butelki oryginalne w pudełkach z naszą ochronną marką „kotwicą", wtenczas jest pewność, że się otrzymało wyrób oryginalny.

Apteka Dr. Richtera pod „złotym lwem" w Pradze,

ulica Elżbiety No. 5 nowy.

Wysyłka codzienna.

1—96

ŁODZIE wszelakich konstrukcyj, do celów praktycznych i sportu, na wody bieżące i stałe wykonuje i utrzymuje na składzie:

ANATOL HERETYK, Kraków-Dębniki

Przystań „Anatola".

Kraków ulica Sławkowska L. 3



Kraków Hotel Saski Telefon 516

Zdzisław Zdanowicz



Magazyn galanteryjny, Skład Bielizny, Kapeluszy, Obuwia ameryk. i przyborów do podróży.



Cenniki illustrowane na żądanie darmo i opłatnie

Nawet najwybredniejszych smakoszy potrafią zadowolnić Tutki cygaretowe

(3)

FRAM

z watą „Salvesol-Noris".

Bibułka zrobiona jest z najdelikatniejszych włókien liści morwowych, więc nic dziwnego, że pali się lekko i równo, a dym jest łagodny i chłodny. Własności te podwyższa jeszcze umieszczona w ustniku

„Wata Salvesol".

Nadaje się do tytoni lekkich, mniej do średnio-mocnych — wskutek swego nader delikatnego włókna roślinnego. — Każdy palący tytoń, chcąc uniknąć zatrucia **nikotyną**, powinien palić tylko w cygarniczkach szklanych z watą „Salvesol".

Oryginalny pakiecik »Waty Salvesol« wystarcza na 200—400 papierosów lub cygar.

1000 sztuk tutek »Fram« 3 K.
10 Cygarniczek 1 K. 20 hal.
Pakiecik Waty »Salvesol« 30 lub 60 halerzy.

Zakład przemysłowy wyrobów papierowych »Noris«

Mr. W. BEŁDOWSKI, Kraków, 2.

Pierwsze krakowskie Przedsiębiorstwo

DLA OŚWIETLENIA ELEKTRYCZNEGO I PRZENIESIENIA SIŁY

Rudolfa Poppera

Telef. 484 **Kraków, Floryańska 47.** Telef. 484

Wykonuje wszelkie instalacye wchodzące w zakres elektrotechniki dla sklepów, mieszkań, hoteli, fabryk, młynów, tartaków itd.

Budowa całkowitych Stacyj elektrycznych zapomocą popędu parowego, gazowego i wodnego. **Urządzenie kompletn. Stacyj telefonicznych.**

9—18

Nowo założona

Fabryka elektrotechniczna

Wyrób wszelkich **materyałów instalacyjnych** oraz **aparatów** własnego pomysłu. Obficie zaopatrzony skład **motorów** elektryczn., **dynamo maszyn, lamp łukowych i świeczników**

Porady i kosztorysy bezpłatnie



Oryginalne i krajowe

Amerykańskie Meble biurowe

z żaluzyami

poleca hurtowny skład

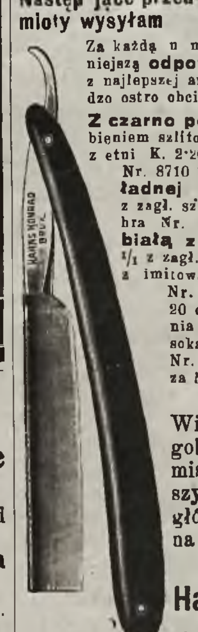
Zygmunta Lauera

Kraków

ulica Floryańska L. 1, I p.

Telefon 718.

Następujące przedmioty wysyłam **na 8 dni na próbę.**



Za każdą u mnie zakupioną brzytwę przyjmuję najzupełniejszą **odpowiedzialność**, ponieważ są one wykonane z najlepszej angielskiej stali, **ręcznie szlifowane**, bardzo ostro obciągnięte, gotowe do natychmiastowego użytku.

Z czarno polerowaną okładką: Nr. 8701 ¼ z zagłębieniem szlifowana z etui K. 1·70. Nr. 8702 ½ z zagł. szlif. z etui K. 2·20. Nr. 8706 ¾ z zagł. szlif. z etui K. 2·80 Nr. 8710 1/1 z zagł. szlif. z etui K. 3·50. **Z okładką ładnej imitow. kości słoniowej:** Nr. 8713 ½ z zagł. szlif. z etui K. 2·60, z ozdobami z nowego srebra Nr. 8716 1/1 z zagł. szlif. K. 4·—. **Z okładką białą z prawdziwej kości słoniowej:** Nr. 8715 1/1 z zagł. szlif. K. 6·—. Nr. 8750 rzemień do ostrzenia z imitowanej skóry juchtowej 20 cm. długi K. 1·20 Nr. 8754 podwójny rzemień z żelazną osią i śrubą 20 cm. długi K. 2·—. Nr. 8765 miseczka do golenia z blachy niklowej 9 cm. średnicy 4 cm. wysoka K. —·30. Nr. 8768 pendzel do golenia K. —·40. Nr. 8761 najlepsze mydło do golenia w kawałkach za 50 gr. K. —·20. za 100 gr. 30 h. Nr. 8790 lusterko do golenia K. 4·20.

Większy wybór brzytew, garniturów do golenia, rzemieni, kamieni do obciągania, miseczek, pędzli, lusterek, rozmaitych maszynek do strzyżenia znajduje się w moim głównym katalogu z 3000 illustracyj, który na żądanie każdemu **darmo i opłatnie** się wysyła

Hans Konrad pierwsza fabryka zegarów i dom wysyłkowy I. rzędu

18—22 **w Brüx Nr. 901 (Czechy).**

Zabawki, lalki, gry tow., konie na biegunach C. Szczurkowski 2

poleca w wielkim wyborze po niskich cenach; **Kraków ul. Grodzka L.**